Cena 80 mk.

№ 9. Warszawa, 25 lutego 1922. Rok III.

TYDZIEŃ POLSKI

Polska i odbudowa Rosji.

(*Odczyt wygłoszony 22 lutego w Krakowie w Towarzystwie Ekonomicznem*).

Nie bez wzruszenia staję przed sz. zgromadzeniem,—a uprzytamniam sobie—przed uosobieniem polskiej myśli politycznej, głębokiego patrjotyzmu i rozwagi. Mimowoli myśl moja biegnie wstecz i staje mi w pamięci także radosna dla mnie chwila, kiedy jeszcze przed wojną w latach niewoli przemawiałem publicznie w Krakowie o Rosji i Polski dążeniach narodowych, w tej atmosferze wyżyn ducha narodowego, do której wszyscyśmy dążyli i jakby po kąpieli odbytej, wracaliśmy na wschód, na wskazane przez życie dla każdego stanowiska.

Dziś mam mówić znowu o Rosji, o jej odbudowie i Polsce. Jakże paradoksalnem wydaje się to zestawienie dwóch tytułów, dwóch pokrewnych tematów. Wszak to niedawno tak było, kiedy nasze dążenia narodowe i Rosja zapełniały życie każdego z nas, a dziś kolosy runęły i mam mówić o roli Polski w odbudowie tego kolosu. Ta paradoksalność już odrazu usposabia do zimnego traktowania tematu.

Mam głęboki sentyment dla idei polskiego romantyzmu, który opromienił smutne lata naszej niewoli, ale gdy chodzi o prawdę materjalną, o dociekanie podstaw ekonomiki, to trudno; trzeba zerwać z poezją, wziąć do ręki ołówek i liczydło i lancetem analizy prawdę tę ustalić. Dość przypomnieć debaty w Cannes, gdzie się odbywał słowny pojedynek pomiędzy dwoma mężami, kierującymi podówczas losami Europy, Lloyd George'm i ówczesnym pierwszym ministrem Francji, Arystydem Briandem, by uprzytomnić sobie, jak skomplikowanym jest dzisiejszy problem rosyjski, jak uwikłano w nim niezliczonymi interesami i antynomiami świat cały.

Trzy lata mija od pokoju, a Europa nie może się dźwignąć z choroby powojennej i na zachodzie widzą w Rosji jeneralne *panaceum* na wszystkie niedomagania. Oby prędzej się otworzył ten sezam — myślą w Europie — a znajdą i dla siebie ukryte źródło ożywcze, nietylko kupiec, przemysłowiec i bankier, lecz wszyscy: cierpiąca ludzkość cała. Nadzieje te są oparte przeważnie na opanowaniu dzisiejszego stanu rzeczy w Rosji, na zwycięstwie kapitału nad komuną, cywilizacji nad tyranią. W przeciwieństwie do tego nasz uczony kilka dni temu w odczycie, wygłoszonym w Polskiem Tow. Wschodnim w Warszawie, prof. Marjan Zdziechowski, namalował obraz pełen głębokiego pesymizmu, niemal apokaliptyczny koniec świata—Europa, Rosja i Azja—temat odczytu—wykreślał filozoficzne ujęcie problemu Rosji, która nie jest ani Europą, ani Azją, a jest Rosją, z której płyną w proroczych wizjach Włodzimierza Sołowiewa i Dostojewskiego źródła duchowego jadu, zatruwającego świat cały i niszczącego europejską kulturę.

Między dwoma sprzecznościami prawda jak zwykle leży pośrodku. Odbiegłbym od tematu, gdybym chciał dać określenie i ujęcie filozoficzne tego, co zaszło w Rosji i co niesie ze sobą rewolucja rosyjska, ale jedną rzecz stwierdzić dzisiaj należy. Jeszcze wielki poeta rosyjski Tiutczew mówił:

Umom Rosiji nie poniać
W Rosiju można tolko wierić.

Książę Esper Uchtomski pierwszy podkreślił pierwiastek azjatycki w duszy rosyjskiej i gotów był przeciwstawić paneuropeizmowi ideę panmongolską, z jej rzeczniczką — Rosją. Mesjanizm słowianofilów, oparty na filozofji Hegla, bezpośrednio znajduje psychologiczne potwierdzenie w dzisiejszych wielkich cierpieniach rosyjskiego społeczeństwa i jakby echa późniejszych epigonów słowianofilstwa, budzi się nowa myśl filozoficzna w emigracji rosyjskiej na Zachodzie, która duchowo się łączy z nastrojami istniejącemi w Rosji t. zw. *eurazijstwo* (Eur — Azja), odczucie

w sobie Azji, pierwiastku odmiennego, niż u przeciętnego Europejczyka, stawiającego Rosjanina na inne stanowisko w świecie cywilizowanym, dające mu specjalny krzyż męki i specjalne posłannictwo. Jest to źródłem budzącego się nacjonalizmn nie dawnego, rządowego epoki carów, lecz nacjonalizmu, z którego musi wypłynąć głębokie uczucie nienawiści do wszystkich, do świata całego za to, co Rosję spotkało. Bezpośrednią konsekwencją tego, nieuniknioną jest *xenofobia*, niechęć do cudzoziemców wogóle. w szczególności zaś do tych, co tak niedawno należeli do Rosji, byli jej poddanymi i sługami. Ten psychologiczny moment w omawianem zagadnieniu należy poważnie brać pod uwagę.

Jakiż teren do działania przedstawia dzisiejsza Rosja. Nie stawiam sobie roli proroka, nie chcę mówić, czy prędko w Rosji bolszewizm upadnie, czy upadnie w drodze ewolucji, czy w krwawych zapasach z „białą Rosją“, czy z czerwoną komunistyczną, oskarżającą swych przywódców o zdradę. Biorę Rosję taką, jaką jest, Rosję sowiecką, bo na konferencji genueńskiej właśnie ta Rosja, a nie inna, będzie reprezentowana, zajmie miejsce przy wspólnym stole przedstawicieli świata.

Nie od rzeczy będzie na chwilę zwrócić uwagę na sam zewnętrzny ustrój sowieckiej federacyjnej republiki, abstrachując od wewnętrznego jej ustroju i tych konsekwencji, jakie dła Europejczyka stąd płyną: nie jest ona scentralizowanem ciałem. Obok sowieckiej republiki rosyjskiej istnieje związanych proletarjackiemi umowami siedm formalnie niezależnych republik, a mianowicie: Białoruś, Ukraina, Aserbejdżan, Armenja, Gruzja, Chiwa, Buchara, ósma republika ludowa Dalekiego Wschodu, mająca ustrój demokratyczny.

W samej rosyjskiej federacyjnej sowieckiej republice jest siedm republik niby autonomicznych: baszkirska, kirgiska, tatarska, turkiestańska, górska, dagiestańska i krymska. Obok tego dziewięć autonomicznych okręgów: czuwaski, maryjski (czeremiski), wołski, kabardyński, kałmycki, niemiecki, zyrjański, burjato-mongolski i jakucki, co razem stanowi 17 jednostek autonomicznych, ośm niezależnych republik, czyli wszystkiego razem 25 samodzielnych państw.

Terytorjum dzisiejszej Rosji, bez Chiwy i Buchary, wynosi 18.384.847 wiorst kwadratowych. Na tej przestrzeni jest 733 powiaty, 15.405 gmin i 1616 miast, ludności przeszło 135 miljonów (według *Tygodnia polskiego* nr. 7), czyli Rosja straciła 3,7 proc. dawnej przestrzeni, a jeżeli przyjąć pod uwagę przyłączenie dziś wcielonych, Chiwy i Buchary, to strata wynosi zaledwie 1,2 proc. przestrzeni byłego imperjum. Zmniejszenie zaś ludności stanowi 17,8 proc. bez Buchary i Chiwy, a 15,2 proc. z Bucharą i Chiwą.

Jak jest Rosja wyczerpaną, wszyscy sobie dokładnie zdają sprawę i nie mam potrzeby specjalnie mówić o zniszczonych fabrykach, o obniżeniu kultury rolnej, o zrujnowanym transporcie, o wyczerpaniu fizycznem i moralnem ludności. Jednak dla ścisłości musiałbym podkreślić jeszcze jeden czynnik, z którym trzeba się liczyć, głód, którym objęte są ogromne przestrzenie nadwołżańskie i pogranicza zachodniej Syberji. W Polskim Komitecie Pomocy ofiarom głodu w Rosji miałem sposobność słyszeć referat dwóch naszych delegatów, p. Niżyńskiego, który był w Czelabińsku i p. Wolskiej, która wróciła z Saratowa, którzy stwierdzili, iż tam ludzie od dłuższego czasu pieką chleb z nawozu końskiego i znane są nie rzadkie fakty pożerania trupów ludzkich, uprzednio solonych i mrożonych. I tam ma się odbywać już obecnie odbudowa Rosji!

Brak aparatu, potrzebnego dla handlu, brak kupca, banku, czeku i weksla, potęgują trudność zadania i dlatego rozumiem, że przedstawiciel Niemiec w Rosji, prof. Wedenfeld, o ile jestem dobrze poinformowany, wróciwszy z Moskwy do Berlina, stwierdził niemożliwość prowadzenia na wielką skalę normalnych gospodarczych interesów. Tak *de casu ad casum*, prędzej szmugiel, niż handel, bogacący jednostki ma miejsce i będzie się powoli rozwijał.

Rywalizacja czynników międzynarodowych, które mają odbudowywać Rosję ma również duże znaczenie. Porozumienie angielsko - niemieckie, oparte na chwilowej zgodności interesów—Niemcy pragnąc w imię perspektyw politycznych widzieć Rosję jak najprędzej przywróconą do dawnej potęgi, Anglja w imię tych samych perspektyw widząca tylko czasowe zadośćuczynienie duszącemu się po wojnie przemysłowi i handlowi angielskiemu — jest główną linją międzynarodowej akcji. Japonja milczkiem opanowuje Daleki Wschód, Ameryka działająca już na wewnętrznym terenie rosyjskim w akcji ratowniczej i wreszcie Francja, że nie wspominam o Włoszech, mająca swoje wielkie i odrębne interesy w Rosji.

Na tym punkcie chciałbym się specjalnie zatrzymać. Od czasu traktatu wersalskiego pomawia się specjalnie Francję o imperjalizm, o dążenie do hegemonji. Jest to tak samo nie słusznem, jak pomawianie Polski o imperjalizm. Cała polityka powojenna Francji jest polityką obrony, polityką świadomości niebezpieczeństwa potencjalnie istniejącego, polityką nie agresywizmu lecz utrwalenia, przywrócenia przez traktat wersalski dawnego stanu posiadania. Pod tym kątem widzenia należy rozważać politykę francuską w Rosji. Francji nie chodzi bowiem o utrzymanie wielu miljardów zakopanych w Rosji, ale o otrzymanie przedewszystkiem politycznego stanu posiadania, stanowiącego cały dobytek minionej epoki. W polskich kołach często się słyszy, że to „rusofilstwo“ jest bardzo niebezpiecznem dla Polski. Zapewne rywalizacja Rosji z Polską wogóle dla Polski jest bardzo groźną. Ale zapytam, czy nie jest groźniejszem, że w Rosji będą się utrwalały wręcz wrogie dla Polski wpływy, czy nie leży w interesie Polski, aby tam rosły wpływy francuskie, umożliwiające politykę porozumienia, politykę francusko-polsko-rosyjską. W polityce trzeba być konsekwentnym i pozytywnym. Jak się ma sojusz francusko-polski, który odpowiada żywotnym interesom Polski, to trzeba z tego wyciągnąć wszystkie wnioski.

Zbliżamy się wreszcie do głównego tematu, do roli Polski w odbudowie Rosji. Ingerencja międzynarodowa do życia gospodarczego Rosji może być w postaci trzech czynników: a) kapitału inwestycyjnego, b) handlu wymiennego, c) pracy.

Czy można poważnie mówić, by Polska posiadała kapitał własny na eksport, aby miałą inwestować zniszczony przemysł rosyjski, czy wogóle mowa o roli Polski w odbudowie Rosji nie jest po prostu paradoksem, gdy sama Polska potrzebuje odbudowy. Zapytam dla przykładu, czy Gorlice już powstały z perzyn, w które były obrócone w r. 1915, czy Kalisz prędko odbuduje zniszczone przeszło 500 domów, z których dotychczas stoi zaledwie około 70 pod dachem, czy Brześć Litewski, który po wyjściu wojsk rosyjskich ma tylko jedną ulicę, a reszta świeci pustkami, nie potrzebuje odbudowy, czy wreszcie, wszystkie miasta polskie, nie wyłączając Warszawy i Krakowa, nie wymagają odbudowy i nie mogą się jej doczekać dla braku kapitału? Więc przestańmy mówić o wielkich koncesjach w Rosji i polskich inwestycyjnych kapitałach.

Gdy przypominam sobie dawny stan polskiego posiadania w Rosji, oczywiście pomijając ziemie, które dawniej należały do Rzeczypospolitej, Ukrainę, gdzie sporo pozostało polskich cukrowni i gorzelni, to znikoma była ilość Polaków w Rosji, którzy posiadali kapitał i władzę z jego posiadania płynącą. Wielkie zakłady na Uralu, własność Koziełł-Poklewskich, i to wszystko, a reszta — rzeczy znikome. Dlatego i dziś Polacy w przeciwstawieniu do Niemców, którzy mają swoich Knopów, Rabeneck, Wogan i t. d., nie mogą przyjść do Rosji, jako byli właściciele wielkiego przemysłu, bo takowych nie było. Polacy mieli duże wpływy w Rosji, byli na wysokich stanowiskach w przemyśle i handlu, inteligencja wpływała na życie intelektualne Rosji, ale wszyscy razem nie reprezentowali kapitału, a byli jego sługami, reprezentowali pracę.

A więc moglibyśmy oddać naszych uzdolnionych i może najenergiczniejszych pracowników na usługi obcego kapitału do Rosji, bo przecież mamy ludzi do zbytku, fachowców poddostatkiem, na każde stanowisko trzech, czterech do wyboru, a może i więcej — nieprawdaż? Bądźmy i tutaj szczerzy: nie mamy nadmiaru ludzkiego intelektu. Zachowajmy ich dla siebie i zużytkujmy dla odbudowy własnej ojczyzny.

Trzeba pamiętać jeszcze i o tem, że wszyscy co rwą się dziś do Rosji, pamiętając o swej roli dawnej, o minionym dobrobycie i łatwych warunkach życia, przyjdą do Rosji dzisiejszej, jako cudzoziemcy, a faktycznie jako ci, co jeszcze tak niedawno byli Rosjanami i dlatego tego autorytetu, jaki posiada cudzoziemiec, Anglik lub Francuz, w oczach rosyjskiego społeczeństwa nigdy nie będą mieli.

Pozostaje więc handel. Tu ze wszystkiemi restrykcjami Polska winna się zapatrywać na Rosję, albowiem istotnie w stosunku do Polski, według nomenklatury prof. Pietrażyckiego, stanowi ona rynek komplementarny i o ile nie stają na przeszkodzie taryfy i cła prohlibicyjne, może być bardzo pomocną dla pewnej kategorji naszego przemysłu i handlu, uwzględniając w szczególności rynki wschodnie Aserbejdżan i szczególnie Persję.

Jest jednak jedna dziedzina, w której Polska może i powinna odegrać znaczniejszą rolę. Geograficzne położenie Polski jest źródłem ciągłej troski o własne bezpieczeństwo, ale daje też pewne korzyści. Najkrótsza z Zachodu droga do Rosji jest via Gdańsk-Warszawa-Baranowicze-Mińsk-Moskwa, lub Gdańsk-Warszawa-Lublin-Lwów-Podwołoczyska-Odesa. To samo jest z drogą ściśle lądową i należy użyć wszelkich wysiłków, by ten polski trakt, łączący Zachód ze Wschodem, wykorzystać dla transitu dla towarów, idących do Rosji, poczynić wszelkie dla tego udogodnienia, albowiem rachunek pieniężny jest największym sojusznikiem przy regulowaniu stosunków międzynarodowych, nawet tak skomplikowanych, jak polsko-niemieckich. Jeżeli zreasumujemy wszystko, co powyżej było przytoczone, musimy przyjść do wniosku, że Polska samodzielnej roli w odbudowie Rosji odegrać nie może, że Polska jest zainteresowaną, by w tej odbudowie odegrały rolę siły dla Polski zasadniczo i *a priori* przychylne, a więc przedewszystkiem Francja i dlatego winniśmy wystąpić jako czynnik współrzędny razem z francuskim kapitałem i wogóle z francuską ingerencją. Czy jest to rzeczą łatwą do zrobienia? Francuski kapitał jest bierny i ciężki, natomiast niemiecki bardzo ruchliwy i zapobiegliwy, a nasz ojczysty często lekkomyślny. Trzeba też dużo wysiłku woli i cierpliwości, by pokonać wszystkie trudności.

Na konferencji genueńskiej rola nasza nie będzie łatwą. Tam w Genui przy stole usiądą nie dwa typy wiejski i miejski, jak pięknie to ujął prof. Jaworski, omawiając naszą konstytucję, lecz jeden typ, który będzie sięgał po władzę nad światem. Jakże sytuacja nasza będzie odmienną od tej, jaka była w r. 1919 w Wersalu. Wtedy Polska miała atmosferę pełną życzliwości, miała zwycięską Ententę, Niemcy były zgnębione. W Genui Ententy już niema, są rywalizujące ze sobą mocarstwa, głośno przemawiające Niemcy, nowy wrogi Polsce czynnik rosyjski, czyto oficjalny sowiecki, czy zakulisowy emigracji rosyjskiej.

To wszystko nakazuje wielką ostrożność. Niedawno pewne pismo warszawskie, otaczające od dłuższego czasu opieką moją skromną osobę, oskarżyło mnie o to, że pracuję nad duchowem rozbrojeniem Polski. Jeżeli to ma oznaczać, iż pragnąłbym nas widzieć w pracy pokojowej dla podniesienia wytwórczości i produkcji, dla zgodnego współżycia w naszem społeczeństwie, dla utrwalenia podstaw, na których Polska niepodległa jest zbudowaną, jednem słowem dla czujnej polityki obrony, dla takiej, jaką prowadzi dzisiejsza Francja, to gotów jestem do grzechu tego się przyznać. Reakcja powojenna niesie za sobą zawsze tendencję restytucji i niebezpieczeństwo tych tendencji jest bardzo widoczne.

Jeszcze w 1920 roku mówił do mnie pewien dostojnik w Rzymie, niedawno potwierdzony na swem wysokiem stanowisku, ostrzegając: „Rosja dźwignie się z upadku i Niemcy powstaną odrodzone, *et vous Polonais serez embrassés*. Trzeba spieszyć z odbudową własnej ojczyzny, by na ową chwilę być gotowymi do obrony. Głośny niemiecki uczony Foerster mówił, ostrzegając świat przed uniknioną katastrofą, że jest już za pięć minut dwunasta. Ja nie wiem, czy ta godzina dla świata jest tak bliską, ale że dla Polski jest bliską, to nie mam wątpliwości. Nie rozpraszać naszych sił, nie prowadzić ekstensywnej gospodarki, lecz skoncentrować i skondensować

wysiłki narodowe w atmosferze pokojowej pracy. Przypominają mi się słowa, wypowiedziane rok temu przez wielkiego włoskiego uczonego Enrico Ferri: „Świat jeszcze nie prędko dojdzie do pokoju i spokoju, bo umysły ludzkie nie są zdemobilizowane".

Aleksander Lednicki.

MIRAŻE GENUEŃSKIE.

Jeden z dzienników warszawskich słusznie upatrywał w polityce *wewnętrznej* Lloyd George'a jedną z głównych pobudek genueńskiego pomysłu. „Pomysł ten oszołomić miał wyborców, zniecierpliwionych ciężkimi skutkami następstw wojny dla handlu i przemysłu angielskiego. Mistrz parlamentarnej demagogji obudził w szerokich masach nadzieje, że od dnia 8 marca wszystko się zmieni w Europie, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, że rządy wszystkich państw rzucą się sobie w objęcia, że kontynent zamieni się natychmiast w jedną wielką rekonstrukcyjną fabrykę, przynoszącą Anglji dobrobyt a miljonom bezrobotnych obficie wynagradzaną pracę, że Niemcy cudownie rozkwitną i że Rosja nasyci Europę bogactwem swoich śpichlerzy, których wspaniałą zawartością p. Lloyd George miał zdumiewającą odwagę karmić wyobraźnię angielską nie dalej jeszcze jak rok temu". I dziennik wspomniany powątpiewał nawet „czy p. Lloydowi Georgowi zależy istotnie tak bardzo na rzeczywistem dojściu konferencji do skutku, czy też zależy jemu jedynie na tem, aby miraż zapowiedzianego cudu trwał i uzasadniał konieczność dalszego stania p. L. George'a u steru rządu w okresie piętrzących się skądinąd niebezpieczeństw".

Są to zupełnie słuszne uwagi, ale do tego dodać należy, że pomysły Lloyd George'a dlatego mają takie powodzenie, że niezależnie od pobudek, które kierują premjerem angielskim, świat współczesny istotnie potrzebuje tych miraży, jakie stawia przed jego oczami zręczny mistrz gry parlamentarnej i dyplomatycznej. Lloyd George łudzi nietylko swoich wyborców, ale świat cały, nie dlatego, że jest wyjątkowym genjuszem w sztuce łudzenia, ale dlatego, że świat cały gwałtem tych złudzeń, tych środków cudownych domaga się. *Mundus vult decipi.* To stare powiedzenie rzymskie nigdy nie zawierało w sobie tyle prawdy, jak dziś.

Świat współczesny wyczerpany i ciężko chory, po wojnie niema ani sił, ani odwagi, aby zdobyć się na środek leczniczy, który rozum wskazuje i który rzeczywiście kurował by chorobę, usuwając jej przyczyny,—nie mogąc odważyć się ani na operację wskazaną, ani na zmianę trybu życia, chory próbuje rozmaitych środków znachorskich, balsamów cudownych, leków, usuwających wszelkie choroby bez wielkich kosztów i bez żadnego wysiłku ze strony chorego. Stąd te niezliczone konferencje, które pozornie wciąż niby rozwiązują jakieś kwestje i niby to znajdują jakieś wyjście z sytuacji bez wyjścia. Stąd też i pomysł jeżeli nie najcudowniejszej, to najbardziej cudackiej z konferencji—genueńskiej, która ma obradować nad odbudową Europy wspólnie z bolszewikami, których celem jest burzenie współczesnego porządku w Europie.

Rozważny w rzeczy samej, jakie zadania stoją dziś przed ludzkośćią i w jakiej mierze konferencja genueńska może przyczynić się do rozwiązania tych zadań.

Jest rzeczą oczywistą, że Europa nie podźwignie się z otchłani, w którą ją wojna zepchnęła, bez solidarnego i bohaterskiego wysiłku kulturalnych narodów całego świata. Dzieło zniszczenia, nad którem w ciągu kilku lat prawie cała ludzkość pracowała, nie może być naprawione w drodze zwyczajnych wysiłków, chęcią zysków kierowanych. Zapewne, że własny interes każdego kulturalnego narodu wymaga odbudowy Europy i dlatego udział w niej nie byłby altruistyczną ofiarą, lecz interesem dobrze zrozumianym i na dalszą metę obliczonym, ale dziś świat więcej, niż kiedy bądź, myśli o zysku dnia dzisiejszego—o zysku już nie kupieckim nawet, ale paskarskim i giełdziarskim, i nie jest zdolnym do akcji, jakiej własny interes dobrze zrozumiany wymaga.

Otóż, przedewszystkiem cała Europa potrzebuje pomocy Ameryki—nie tej czysto filantropijnej pomocy, którą tak świetnie organizują amerykańskie instytucje dobroczynne, dożywiające dzieci, pomagające starcom i chorym, ale pomocy produkcyjnej w postaci kredytów dla odbudowy przemysłu. Ameryka zaś nie tylko odmawia tych kredytów, ale właśnie dziś upomina się o spłacenie długów wojennych.

Dalej jest oczywistem, że kwestja odbudowy Europy nie postąpi ani na krok naprzód, jeżeli nie zostanie pomyślnie rozwiązaną kwestja odbudowy zniszczonych departamentów Francji i odszkodowań należnych jej od Niemiec. Niektórzy rozwiązują te sprawę zbyt łatwo, radząc Francji, aby w imię interesu pokoju i odbudowy świata zrzekła się tych odszkodowań, przewyższających siły płatnicze Niemiec: to znaczy, że cały ciężar strat wojennych spada na Francję, co jest nie racjonalnem i niesprawiedliwem. Jest nieracjonalnem, bo Francja nie jest w stanie dokonać dzieła odbudowy zniszczonych prowincji, jest nie sprawiedliwem, bo nie Francja wywołała wojnę, i wojna ta na terytorjum francuskiem nie była francuską, lecz wojną światową.

W okopach, które tak zniszczyły glebę francuską, że przez długie lata nie będzie plonu wydawała, schronienie znajdowały nie tylko wojska francuskie, broniące Francji, lecz także angielskie i amerykańskie, walczące z Niemcami o panowanie nad światem. Jeżeli zatem zwyciężone Niemcy nie są w stanie wynagrodzić krzywd, wyrządzonych Francji, to z pomocą przyjść powinny te mocarstwa zwycięskie, które na wojnie najwięcej zyskały, to jest znowu Ameryka i Anglja.

Nakoniec oczywistem jest że najtrudniejsze zadanie odbudowy zniszczonej doszczętnie Rosji wymaga też solidarnych i narazie ofiarnych, obliczonych na zyski w dalekiej przyszłości wysiłków zespołu państw kulturalnych. Gdy się unaoczniły rozmiary klęski głodowej, będącej następstwem trzech lat niszczycielskiej gospodarki sowieckiej, zobaczyli wszyscy, kto miał oczy, aby widzieć, że walka z głodem w Rosji wymaga akcji prawie

wszechświatowej, a racjonalne przeprowadzenie tej akcji wymaga usunięcia przyczyny głodu, to jest, rujnującego kraj systemu politycznego. Europa nie zdobywszy się na ten ostatni czyn, nie mogła nic zrobić i dla zwalczenia głodu w Rosji, nie mogła bowiem Europa zorganizować akcji dokarmiania ludności rosyjskiej, pozostawiając u władzy obecny rząd, bo w takim razie utrzymywałaby swojem kosztem organizację, mającą na celu burzenie porządku w Europie. To też akcja walki z głodem ograniczona została do rozmiarów zwyczajnej filantropji, która w poszczególnych miejscowościach zmniejszy męczarnie głodu, ale ogólnej sytuacji w kraju nie naprawi i od powtórzenia klęski głodowej w roku przyszłym nie uratuje.

Mniej ludzi umarłych, mniej trupów zjedzonych, mniej dzieci przez matki własne w rozpaczy pomordowanych, i za to wdzięczność Hooverowi należy się, ale król głód nie przestaje i nie przestanie w Rosji panować.

Tak samo, jak pomoc Rosji sprowadza się przy istniejących warunkach do pomocy jednostkom, i handel z Rosją też przynosi zyski jednostkom nie ratując sytacji ani w Rosji, ani w Europie.

Cóż może dać wobec tego wszystkiego konferencja genueńska?

O pomocy Ameryki dla Europy nie zdecyduje, bo Ameryka w konferencji udziału nie bierze. Sprawy odszkodowań niemieckich na nowe tory nie wprowadzi, bo Francja zastrzegła, że istniejące traktaty nie będą brane na konferencji pod dyskusję, a gdyby nie to zastrzeżenie, to najwidoczniej Niemcy skorzystałyby z tego w myśl poprzednich swoich starań tylko dla uchylenia się od wypłaty należnych rat. Że sytuacja w Rosji nie ulegnie zasadniczej zmianie—gwarancją tego będzie obecność na konferencji przedstawicieli rządu Sowietów.

Bolszewicy nie są, jak myślą niektórzy, na tyle naiwni, aby dać się wciągnąć w opracowanie i wykonanie planów, zmierzających do faktycznego zlikwidowania ich władzy. Przeciwnie, wzmocnieni przez formalne uznanie ich władzy, potrafią zręcznie wyzyskać antagonizmy, które się ujawnią na konferencji. W przewidywaniu tego Francja wystawiła postulat, aby państwa sojusznicze porozumiały się między sobą i uzgodniły linję postępowania wobec Sowietów.

Jeżeli to nastąpi, to będą zrównoważone możliwe zgubne następstwa konferencji Genueńskiej, nie będzie w wyniku jej minusów, ale czy da jakie plusy, to — wielkie pytanie.

Z tej sceptycznej oceny konferencji Genueńskiej nie wynika bynajmniej, aby Polska nie miała się energicznie do niej przygotowywać. Powinna gotować się z całą energją aby bronić swych interesów i zapobiedz tym szkodom, jakie może jej wyrządzić realizacja pomysłu Lloyd George'a. *L. K.*

KALUMNJOMANJA.

„Gazeta Warszawska" a śladem za nią „Rzeczpospolita" zaatakowały w swoisty im sposób „Tydzień Polski" za artykuł dr. Józefa Zielińskiego „Tryumf demokracji francusko-niemieckiej" (w № 7 Tygodnia).

„W tygodniku tym będącym rodzajem prytanejonu dla nieuleczalnych a zasłużonych teutomanów, dr. Józef Zieliński zachwyca się przypadkowo tem samem, czem niedawno zachwycił się w „L'Humanite" Paul Louis recte Lewi nasz wcale fanatyczny wróg"... pisze „Rzeczpospolita" (№ 51), której naczelnemi artykułami „przypadkowo", choć niejednokrotnie, zachwycał się w „Prawdzie" moskiewskiej Karol Radek recte Sobelson, jak wiadomo fanatyczny „przyjaciel" Polski.

Jest rzeczą wysoce komiczną, że do grona „nieuleczalnych a zasłużonych teutomanów" trafił dobrze znany w Paryżu zapalony frankofil dr. Józef Zieliński, który w czasie wojny wywołał przeciwko sobie w części polskiej kolonji paryskiej wielkie niezadowolenie właśnie przez to, że tak ostro i bezwzględnie zwalczał śród rodaków orjentację tak zw. centralną.

Jest rzeczą już nie zabawną, ale smutną dla naszych stosunków, że każdy szczery wysiłek myśli, szukającej wyjścia ze smutnej sytuacji obecnej, budzi u nas natychmiast ubogą fantazję nieuleczalnych kalumnjomanów, fantazję, tryskającą zawsze jedną i tą samą fontanną oszczerstw, plotek i inwektyw, jak deszcz jesienny jednostajną.

Tak w artykule d-ra Zielińskiego, witającego promyk nadzieji, że w Niemczech może zwyciężyć prąd demokratyczny i groźba nowej wojny odwetu będzie zażegnaną, publicysta „Rzeczypospolitej" czyta między wierszami radę „podania jednej dłoni Prusom a drugiej... Trockiemu".

„Gazeta Warszawska" z powodu tegoż artykułu mówi: „że są u nas ludzie, którzy pozostają na usługach ciemnych sił międzynarodowych" i atakując już nie d-ra Józefa Zielińskiego, a p. Aleksandra Lednickiego pisze:

„P. Lednicki, który rozbrajał polskie wojsko w Rosji, pracuje dalej nad duchowem rozbrojeniem Polski. Rzuca się most do porozumienia z Niemcami. Każe się nam wierzyć nie w siłę, ale w sprawiedliwość międzynarodową".

Na zarzut „duchowego rozbrojenia Polski" p. Lednicki odpowiedział sam w artykule wyżej wydrukowanym „Polska a odbudowa Rosji". Co do rozbrajania wojska polskiego w Rosji, spodziewamy się, że jakiś historyk z obozu endeckiego opisze wreszcie, jak się odbywało owe „rozbrajanie wojska polskiego" nie przez Niemców i bolszewików, lecz przez... p. Lednickiego.

Co się tyczy „wiary w sprawiedliwość międzynarodową", do tego grzechu razem z d-r J. Zielińskim i p. Al. Lednickim przyznajemy się. Powiemy tylko, że nie my pierwsi ten „jad" do duszy czytelnika polskiego wlewać zaczęliśmy. Bo „jad" ten wlewali i Mickiewicz, i Lelewel, i „Tow. Demokratyczne" i humaniści polscy z doby pozytywizmu z Al. Świętochowskim na czele i cała ta inteligencja polska, która natchnienie czerpała nie w publicystyce Mieńszykowa i nie w polityce Bismarka, lecz w lepszych tradycjach myśli polskiej i ogólnoludzkiej. Wierzymy w „sprawiedliwość międzynarodową", ma się rozumieć nie w tym sensie, abyśmy myśleli naiwnie, że już jest siłą światem rządzącą i że, zaufawszy w tę siłę, dziś już rozbroić się można. Wiemy dobrze, że sprawiedliwość międzynarodowa jest ideałem tylko, o który walczyć trzeba, wiemy, że w każdym narodzie jest swoja endecja, uprawiająca

politykę nienawiści. Wiemy, że potężną jest endecja niemiecka, — potężniejszą od naszej, i dlatego nie ucieka się tak często do broni słabych—oszczerstwa i kłamstwa—i otwarcie wypowiada swe cele zachłanne. To też mimo wiary w sprawiedliwość międzynarodową nie nawołujemy teraz do rozbrojenia orężnego ani Polski, ani Francji. Swoje sympatje dla Francji, swój pogląd na sojusz z Francją, jako na podstawę polityki polskiej, „Tydzień Polski", ten „organ teutomanów", tak wyraźnie w szeregu artykułów wstępnych zaznaczył, że nie potrzebujemy tu powtarzać tego, co naszym czytelnikom dobrze jest znanem.

Sowiety a Japonja.

W swoim czasie, w prasie europejskiej, dużo mówiło się pochlebnego dla sowieckiej polityki zagranicznej.

Nawet najpoważniejsze pisma angielskie, jak np. „Daily Mail", „Daily News" i „Times", z pewnego rodzaju podziwem zaznaczały, iż moskiewski rząd sowietów, w stosunkowo krótkim czasie, zdołał wyłonić z siebie cały szereg dyplomatów „not second rate, at least" („bądź co bądź, nie drugorzędnych"), którzy swoją drogą wykazali w chwilach odpowiednich należytą świadomość rzeczy i sytuacji, spryt i elastyczność, rozwagę i daleko wymierzającą kalkulację...

Szczególniej zaś wyróżniano i obdarzano komplementami pp. Litwinowa, Joffe, Krasina i Worowskiego — t. zw. czwórkę dyplomatycznej konstelacji sowieckiej.

Nie będę kwestjonował osobiście ani tych zalet polityki kremlowskiej, ani talentów dyplomatycznych wyżej wymienionych Beaconsfield'ów i Macchiavelli'ów sowieckich. Powołam się tylko na opinję ogólną najpoważniejszych dzienników japońskich — prawych i lewych („Dai Osaka Mainichi", „Tokio Nichi-Nichi", „Asahi-shimbun" i in.), — które zawsze zgodnie zaznaczały, iż polityka sowiecka na Dal. Wschodzie była wciąż nieudolną, nacechowaną wszelkiemi ujemnemi zaletami starorosyjskiej biurokratycznej rutyny, która, jak wiadomo, przyprowadziła Rosję do katastrofy w r. 1903—1907.

Polegała ona głównie na tem, iż każdy ruch antybolszewicki na Dalekim Wschodzie rząd moskiewski starał się przedstawić w oczach państw i opinji publicznej Zach. Europy, jako ruch przedewszystkiem pozbawiony charakteru *rosyjskiego narodowego*, natomiast zaś wywołany wyłącznie „intrygami" Japonji, która rzekomo „nie może się doczekać chwili uskutecznienia lub ziszczenia swoich zaborczo-imperjalistycznych planów względem Rosji".

Z szczególnym, powiedzieć można, nadzwyczajnym, naciskiem „dyplomacja" sowiecka podkreślała zawsze, że owe „bandy białogwardziskie i kontrrewolucyjne" (tak nazywano rosyjskie oddziały wojskowe), organizowane i uzbrojone są na japońskie yen'y, iż są one właściwie awangardą japońskiej armji regularnej, która w stosownej chwili poprze akcję zbrojną przeciwko Rosji, czyli wprost, że te „bandy" odgrywają niezaszczytną rolę „mięsa armatniego" („puszecznogo miasa").

Tak było podczas ruchu „czecho-słowackiego" w maju r. 1918, tak było podczas kołczakowskiej ofenzywy (popieranej à propos przez Anglję i Francję!), tak było podczas niejednokrotnych awanturniczych najazdów (inaczej nazwać je trudno) atamana Siemionowa, tak jest i w chwili obecnej, kiedy na Dal. Wschodzie znowu zawrzała walka, skierowana przeciwko rządom sowieckim...

Otóż powstaje pytanie, czy, rzeczywiście, Japonja, roszcząc względem Rosji (jak twierdzą Sowiety) plany zaborcze, nie miała dotychczas, t. j. w przeciągu trzech lat z górą, możności wystąpić przeciwko Rosji *zupełnie otwarcie*, nie posługując się różnymi Siemionowymi, Kappelami, Merkułowymi e tutti quanti, którzy w sposób dość jaskrawy wykazali swoją nieudolność i „kosztowność"? Czy Japonja nie miała dotąd w ręku powodów wcale wystarczających dla takiego wystąpienia, które, rzecz oczywista, doprowadziłoby do pożądanego skutku drogą i krótszą i pewniejszą?...

Przytoczę jeden fakt, który nie pozostawi żadnych wątpliwości i którego autentyczność może być stwierdzona dokumentalnie.

Otóż, wkrótce po katastrofalnej porażce wojsk admirała Kołczaka przez „czerwoną" armję, bolszewicy z zapałem i werwą, dobrze znanemi w wielu miejscowościach Rosji europejskiej, zajęli się „likwidacją" ruchu kontr-rewolucyjnego w Syberji i na Dalekim Wschodzie.

A więc potężna i krwiożercza Cze-ka działała na całym terenie w sposób wprost barbarzyński: strzelano, wieszano, topiono, torturowano tysiące „winowajców", a jeszcze więcej, ma się rozumieć, osób „Bogu ducha winnych".

Pomagały „Cze-ka", jak zwykle, czynnie i niemniej energicznie setki ochotników prywatnych...

Tak z kolei przyszło do likwidacji kontrrewolucji i w Nikołajewsku.

Jest to niewielkie miasteczko — powiedziałbym raczej: duża wieś, — niczem zgoła nie różniące się od innych „miast" w t. zw. Przymorskim kraju, ale w sezonie nawigacji dość ożywione dzięki swojej sytuacji geograficznej (przy rzece Amur u njścia do zat. Beringa).

Sezon ów jednak, niestety, trwa $5^1/_2$—6 miesięcy, nie więcej, a z końcem października, z zamarznięciem Amuru, Nikołajewsk jest zupełnie odciętym od całego świata: syberyjska „tajga", strome góry i bezdenne przepaście stanowią ten pas nieprzejściowy, który go wyłącza z miejscowości, mających jaką taką komunikację.

Lecz Japończycy, którym już oddawna braknie „miejsca i powietrza" na wyspach Archipelagu Japońskiego, posiadają w Nikołajewsku dość liczną i zamożną kolonję — przeważnie handlowców i przedstawicieli firm dużych w samej Japonji, — z konsulem na czele.

Dla ochrony interesów poddanych japońskich i wobec wciąż zmieniającej się sytuacji politycznej w Rosji przysłano tu kompanję piechoty regularnej japońskiej.

Kiedy bolszewicy dotarli nareszcie do Nikołajewska, był już październik z pierwszemi przymrozkami.

Wnet rozpoczęto, ma się rozumieć, poszukiwania „kontr-rewolucjonerów", „kołczakowców"

i t. d., a jednocześnie i wprowadzanie komunistycznego raju sowieckiego, z aresztowaniami, dopytywaniami i morderstwami „burżujów“ miejscowych.

Pierwszemi ofiarami było trzech najzamożniejszych kupców japońskich.

Uwięziono ich, badano, zrabowano, „ile można było“, a że, koniec końców, oni stanowczo odmówili zapłacić bolszewikom „wykup“ (bardzo znaczny zresztą i którego nie sposób było dostać narazie wobec właśnie zerwania komunikacji z Nikołajewskiem), zamordowano ich w sposób okrutny: wyrąbano w lodzie otwór dostateczny dla pogrążenia jednego ciała i w ten sposób utopiono z kolei wszystkich trzech, spuszczając ich pod lód głową na dół z przywiązanym kamieniem u szyi, dla większej pewności.

Jeszcze jeden szczegół, od którego wzdrygnie się, sądzę, każdy mniej-więcej normalny człowiek: topiono w ten sposób nie jednocześnie wszystkich trzech Japończyków, ale pojedyńczo, każdego po kolei, w oczach pozostałych czy pozostałego na brzegu i wciąż, do ostatniej chwili, dopytywano się, gdzie przechowana jest reszta pieniędzy i kosztowności, kto z japońskiej kolonji i co posiada, jak liczną jest załoga wojskowa, jaką ma broń i t. d.

O tragicznej śmierci swoich rodaków kolonja dowiedziała się nie zaraz, ponieważ egzekucja sama odbywała się w ścisłym sekrecie, o godzinie bardzo wczesnej, w miejscowości dzikiej i mało komu znanej nawet wśród stałych mieszkańców Nikołajewska.

Gdy dowiedziano się po kilku dniach, wysłano delegację do władz bolszewickich z żądaniem wskazania miejsca egzekucji i pozwolenia na odnalezienie zwłok tych zaiste męczenników.

Delegacji odmówiono w sposób nader szorstki, bo... w tym czasie przybyły do Nikołajewska dość znaczne oddziały „czerwonogwardzistów“, wraz z karabinami maszynowemi i nawet kilkoma działami.

Konsul, mając ścisłą instrukcję od swojego rządu nie zwracać się pod żadnym pretekstem do nieuznanego przez Japonję rządu sowieckiego, uważał za niemożliwe interwenjować w danej sprawie.

Ograniczył się więc odezwą do wszystkich japońskich poddanych w mieście, którzy obawiają się gwałtów ze strony bolszewików, aby narazie przenieśli się do domu konsulatu, gdzie będą pod ochroną bandery japońskiej i siły zbrojnej.

Z tej odezwy czyli protekcji skorzystało zaledwie kilka mniej więcej zamożnych rodzin japońskich, reszta pozostała w swoich mieszkaniach.

Widząc to „przesiedlenie się“ najgrubszej dziczyzny, szczególnie zaś skoncentrowanie w konsulacie załogi uzbrojonej, bolszewicy, po naradzie, zażądali rozbrojenia tej ostatniej i wydania im wszelkiej amunicji w przeciągu sześciu godzin, poczem, w razie oporu, konsulat japoński będzie bombardowany przez artylerję.

Załoga japońska, uważając, zgodnie z tradycjami wojskowemi, za największą hańbę wydanie oręża, i nie zważając na to, że siły bolszewickie były dziesięciokrotnie większe od niej, odpowiedziała stanowczem.

— Nie!

I po upływie niespełna sześciu wyznaczonych w ultimatum godzin artylerja bolszewicka, umieszczona na pagórkach naokoło konsulatu i kwartału japońskiego, rozpoczęła wściekłe bombardowanie.

Po kwadransie cały budynek konsulatu wraz ze służbami płonął w morzu ognia. Piechota japońska odstrzeliwała się do ostatniego naboju. Gdy gmach runął, grzebiąc pod sobą całą rodzinę konsula (żonę i kilkoro dzieci), żołnierze japońscy z krzykiem:

— Dai Nibon banzai! (umieram za ojczyznę, niech żyje ojczyzna)!

Rzucali się w stosy palącego się drzewa i żelaza, wołąc lepiej umrzeć śmiercią okrutną, niż żyć z plamą haniebną poddania się „barbarzyńcom“...

Jakież wyniki miało to zajście tragiczne? W jaki sposób reagował rząd japoński, który teraz, oczywista, miał, według prawa międzynarodowego, wszelkie dane do otwartego wystąpienia przeciwko Rosji?

I zniewaga bandery państwowej, i morderstwo oficjalnego przedstawiciela Japonji i, nareszcie, akcja zbrojna przeciwko regularnemu wojsku japońskiemu...

Mogę odpowiedzieć na to zapytanie zupełnie dokładnie, albowiem, będąc w Europie, jako korespondent pisma japońskiego „Asaki-szimbun“, otrzymałem w swoim czasie, w drodze wpół-urzędowej, komunikat jednej z dyplomatycznych placówek japońskich o tem zajściu—z prośbą o przedrukowanie go przez pisma europejskie.

W komunikacie była przytoczona, w formie protokólarnej i b. lakonicznej, tragedja Nikołajewska, i tylko w samym końcu zaznaczone było, iż rząd japoński, „po ścisłem zbadaniu całego zajścia, uczyni odpowiedni krok“.

Do dnia dzisiejszego „odpowiednich kroków“ nie widzimy.

Tak postępuje względem Rosji Sowieckiej „zaborczo-imperjalistyczny“ rząd Mikada Japońskiego.

(D. n.). ***H. Kuretsuki.***

CZY NAM DANINA POMOŻE?

I.

Sprawa daniny, jako radykalnego środka ratowania ekonomicznej niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej, należy do tych, o których każdy myślący obywatel musi wyrobić w sobie samodzielny, zupełnie określony pogląd i przekonanie. I to nie dlatego, by sprawa ta mogła być poddaną wątpliwości lub odroczoną, lecz by w przekonaniu społeczeństwa wyrobiła się ta świadomość i zrozumienie, bez którego wszelkie ogólno-państwowe zarządzenia tracą charakter ratunkowego środka, zabezpieczającego ogólną pomyślność i dobrobyt, a nabywają cech z góry wyznaczonej kary i nieszczęścia, od którego w miarę sił i możności nietylko uchylać się można ale i trzeba.

Niezbędnem jest, by w świadomości każdego obywatela wyrobiło się mocne przekonanie, że ten nadzwyczajny wysiłek da wyraźne i stałe rezultaty, że — po wlaniu tej ofiary do państwowej dzieży

finansowej dno jej nie będzie już świecić pustkami, jak to było i jest — pomimo pożyczki odrodzenia, miljonówki, podatków, akcyz i drukowania miljardowych ilości marek; że wreszcie zawartość tej dzieży nie będzie już tak ciekłą i lotną, a nabierze niezbędnego dla naszej samodzielności ekonomicznej ciężaru właściwego. Dla nabycia tej pewności przeciętny obywatel musiałby po zaznajomieniu się z tem, co wypowiedziano w tej sprawie w prasie i Sejmie — uprzytomnić sobie wszystkie znane mu w realnej rzeczywistości najbardziej charakterystyczne fakty i objawy naszego życia ekonomicznego i ułożyć z nich pewien system, coś nakształt szkiców kredą na desce, które mają tę niewątpliwą zaletę, że są wyraźne i z łatwością mogą być poprawione lub zupełnie starte. Na tle takiego szkicu mógłby on najłatwiej ocenić znaczenie daniny i jej prawdopodobne skutki.

Wywołany wszechświatową wojną niedostatek przedmiotów najpierwszej potrzeby przesunął ekonomiczny wpływ i dobrobyt z miast do wsi, od inteligencji do mas bezpośrednio pracujących, przedewszystkiem na roli. Inteligencja, która w przeciągu całego perjodu niewoli nie wypuszczała z ręki sztandaru przyszłej ekonomicznej i politycznej swobody— w chwili realizacji jej marzeń nie uzgodniła swych dążeń i czynności, czem jeszcze silniej osłabiła swe społeczne i ekonomiczne stanowisko.

Zapożyczony u Austrji via Galicia system rządzenia za pomocą papieru, pokrywającego realne objawy natury—z piorunującą szybkością wytworzył szereg skomplikowanych biurokratycznych organizacji, coś nakształt monumentów z desek okrapianych wapnem i gliną, którym przy odrobieniu kapiteli na wzór pierwszorzędnych zagranicznych oryginałów brakuje zupełnie opartych na zbadanym i swoistym gruncie fundamentów. Wszystkie zakątki tych gmachów z błyskawicznym pospiechem zapełniły się przedstawicielami wyżej wymienionych ugrupowań i organizacji, zaciekle dążących do opanowania coraz wyższych i wreszcie najwyższych szczebli. Na te wewnętrzne nieprodukcyjne tarcia zatraca się znaczna część siły narodowej, tak niezbędnej dla twórczej produktywnej pracy i pomyślnego zwalczania zewnętrznych i wewnętrznych wrogów państwowości polskiej... Utrzymanie tych kolosalnych biurokratycznych organizacji, leczenie chronicznie chorych i pogrzeby nieboszczyków, jak np. Ministerstwo aprowizacji, Nadzwyczajny Naczelny komisarjat, PUZAP i t. d., pochłaniają znacznie więcej, niż dają wszystkie państwowe dochody i są jedną z pierwszych przyczyn chronicznego deficytu. Jeśli do tego dodamy nieustalenie ekonomicznych stosunków i granic z sąsiedniemi państwami, nieprzychylną dla nas potęgę międzynarodowego kapitału, wściekłą zaciekłość byłych władców, dążących za wszelką cenę do zwalczenia nas na polu ekonomicznem, wreszcie — niezagojone jeszcze rany po spustoszeniach, wywołanych wojną i inwazją bolszewicką — otrzymamy zupełnie wyraźne tło, na którem pomimo wszystkich przeszkód już wyraźnie zarysowują się potężne kształty naszej państwowej organizacji ekonomicznej. W podstawie jej niema jeszcze ostatecznych fundamentów, ale na szczycie mamy już wykończone na wzór europejski ministerjum finansów. Ta najwyższa ekonomiczna instytucja nie posiada jeszcze w swojej skarbnicy wielkich realnych wartości i nie objęła jeszcze w swoją opiekę wszystkich skarbów narodowych. Obfite naturalne bogactwa kraju w postaci lasów, węgla, nafty, soli, torfu, metalów i t. d., z wyjątkiem urodzajnej gleby— nie są w zupełności opanowane i należycie wykorzystane przez narodowe siły ekonomiczne, i dlatego nie są jeszcze podstawą i kamieniem węgielnym naszego gmachu ekonomicznego. Produkcja fabryczna i handel są też przeważnie w ręku biegłych, lecz conajmniej obojętnych względem odradzającej się państwowości polskiej elementów, dla których samo istnienie silnej i ekonomicznie samodzielnej Polski nie jest ani bezwzględnie koniecznem, ani nawet często przyjemnem — Ten przejściowy stan głównych odłamów ekonomicznego posiadania, oddając główną część dochodów na opłatę obsługującego go, przeważnie zagranicznego kapitału — nie daje Państwu dostatecznych środków dla załatwienia najniezbędniejszych państwowych potrzeb. Dla pokrycia coraz bardziej wzrastających rozchodów ministerjum finansów posiada jedyny środek w postaci aparatu, tłoczącego bez przerwy bezmierną ilość papierowych marek. Cały potok tego produktu wlewa się do centralnej finansowej dzieży, skąd momentalnie jak eter lub kamfora ulatnia się, pozostawiając świecące czystością dno, co automatycznie wywołuje gwałtowną potrzebę nacisku na drukującą prasę, dającą produkt coraz mniejszej wartości. Ta wyjątkowa lotność marki polskiej wynika z jej małowartościowości nie tylko w stosunku do wszystkich, z wyjątkiem Sowdepji i Austrji, walut europejskich, lecz i do realnych wartości w samym kraju, jak chleb, masło, jaja, materjały, narzędzia i t. d.

Przy takiej własności jedynego i dla wszystkich obowiązkowego znaku pieniężnego—wszelka wymiana produktów i pracy staje się coraz bardziej utrudniona i niemożebna. Ziemianin, posiadający po dobrym urodzaju zboże i produkta wiejskie, nie może mieć tyle marek, by kupić potrzebną jemu i rodzinie odzież, obuwie, narzędzia i t. d., a robotnik, rzemieślnik i inteligent miejski—pomimo będącej się produkcji fabrycznej i nawału wszelkiego rodzaju pracy — nie ma marek dostatecznie, by nabyć potrzebną ilość chleba, tłuszczów, mięsa i t. d.

Dla osób oddających swoje realne wartości lub pracę marka polska straciła zupełnie urok, każdy oblicza swoją należność ilością najpotrzebniejszych produktów, jak np. zboża na wsi, lub zagraniczną walutą, przeważnie dolarem, czy marką niemiecką, dla której znaczna część finansowych działaczy ma nieprzepartą sympatję. Praca inteligenta ocenia się na rynku społecznym znacznie mniej od pracy prostego wyrobnika i autor zarabia mniej od zecera, a stróż domowy więcej od nauczyciela pracującego w tymże domu. Ratując siebie i rodzinę od faktycznego głodu, inteligent, pracujący w państwowym lub społecznym urzędzie, gwałtownie poszukuje świadczeń w naturze (tak zwanego deputatu), lub z wielką szkodą dla powierzonej mu sprawy wchodzi na śliską ścieżkę handlowej spekulacji. Ponieważ praca ojca najczęściej nie wystarcza dla utrzymania rodziny, matka zmuszona jest spędzać znaczną część dnia w biurach lub magazynach, co na wychowaniu dzieci odbija się fatalnie. Robotnik, stojąc mocno na stanowisku, że zarobek jego musi przekarmić całą rodzinę — zrzesza się i strajkuje dla osiągnięcia odpowiedniej opłaty, drożyźnianych i świątecznych dodatków i t. d. Kapitaliści, dążąc do utrwalenia podstaw swego posiadania, przechowują swe fundusze w realnych wartościach, procen-

tujących akcjach lub zagranicznej walucie, starannie unikając skupienia wielkiej ilości marek polskich — i żaden obywatel nie określa swego majątku i posagu swych córek w markach polskich.

Handel detaliczny, z pogardą traktujący markę, jednocześnie szuka i wyławia ją gwałtownie, operując wyłącznie systemem najrychlejszego podwojenia i potrojenia zatraconego w markach kapitału... Hurtownik chowa i przetrzymuje towary do chwili, kiedy stosunek marki polskiej do zagranicznej waluty wyda mu się najdogodniejszym. Banki, operując prawie wyłącznie walutami zagranicznemi, patrzą na markę jedynie jako na doraźny środek osiągnięcia swych celów i dlatego przechowują ją w ilości ściśle odpowiadającej bieżącym potrzebom, nie robiąc wielkich zapasów.

Dlatego też przekazywanie większych ilości marek polskich — jest jedną z najtrudniejszych operacji bankowych. Normalny procent od kapitału i długoterminowy kredyt zupełnie zaginęły. Nowo powstałe spółki i towarzystwa akcyjne, których pod wpływem budzącego się ekonomicznego życia powstało w przeciągu ostatnich paru lat więcej niż 1500 — dla rozpoczęcia swej działalności muszą skupiać dziesiątki i setki miljonów, a w dalszym swym rozwoju cierpią chronicznie, brak swobodnych kapitałów w markach polskich.

Widzimy więc, że marka polska, przez wszystkich gwałtownie poszukiwana dla załatwienia codziennych potrzeb życiowych, jest jednocześnie objektem przez wszystkich poniewieranym i odrzucanym.

Ponieważ zaś znaczna większość nie posiada takiej ilości marek pol., by swe potrzeby normalnie i spokojnie mogła załatwić bez obawy o jutro — panuje więc w społeczeństwie obok pogardy względem marki jeszcze i rozgoryczenie z podrażnieniem w stosunku do sfer kierujących naszą nawą ekonomiczną i polityczną. Zachodzi, więc pytanie, jakie są przyczyny tego upośledzenia marki i gdzie skupiają się główne masy wyrzucanych przez maszynę państwową miljardów. W odpowiedzi na pierwszą połowę tego pytania mamy cały szereg oddawna określonych przyczyn, na podstawie których międzynarodowe miarodajne sfery określają stosunek marki polskiej do walut zagranicznych. Do takich przygnębiających polską walutę przyczyn zaliczało się zawsze — zniszczenie ogromnych obszarów wszechświatową wojną, przewlekły stan wojenny, pociągający ogromne koszta organizacji i utrzymania armji nieustalone granice; nieokreślone położenie Gdańska, Śląska, Wschodniej Galicji i Wileńszczyzny; konieczność przywozu z zagranicy produktów pierwszej potrzeby i przedewszystkiem chleba dla przekarmienia armji i ludności; brak w kasie państwowej zabezpieczenia w złocie; zaciekła dążność bolszewików, Niemców i ich sympatyków do zwalczania Polski na polu ekonomicznem i t. d.

Lecz oto już oddawna nie mamy wojny, armja udoskonalając się i organizując pod opieką swego twórcy i wodza — kosztuje coraz mniej; zdobyty Śląsk; Wileńszczyzna wypowiedziała swoje polskie zdanie, granice wyjaśniły się w znacznym stopniu, świetny urodzaj ze zbytkiem zabezpieczył potrzeby kraju, przemysł ruszył z martwego punktu, w kasie państwa coraz więcej złota a w zarządzie — porządek i oszczędności, pod wpływem czego ilość drukujących się marek progresywnie się zmniejsza... Pod naciskiem tych faktów, świadczących o żywotności polskiego narodu, stosunek marki polskiej do zagranicznej waluty jakiś czas zmieniał się na naszą korzyść. Lecz wewnętrzna wartość, to jest stosunek do przedmiotów pierwszorzędnej potrzeby, jak chleb, masło, jaja, mięso, buty i t. d., nie tylko nie ulepszał się, nawet wówczas, gdy marka szła w górę. Głośne reklamy w witrynach i na wystawach o zniżce cen nie dotyczą produktów pierwszej potrzeby, a przy bliższem rozpatrzeniu okazują się zmniejszone o 2 — 10% po poprzedniem podniesieniu na setki procentów. Ogólny stan finansowy wszystkich pracowników w niczem się nie polepszył, ponieważ stosunek pomiędzy ilością posiadanych przez nich marek a wartością w markach najniezbędniejszych produktów, nagromadzonych w ogromnej ilości w magazynach i składach, stał się jeszcze gorszy. O zmniejszeniu wydatków na opłatę urzędnika i robotnika nie może być mowy; przeciwnie wiece domagające się 13-ej gaży, świątecznych i drożyźnianych dodatków i t. d., wskazują wyraźnie, że wewnętrzne ekonomiczne stosunki jeszcze bardziej się zaostrzyły i oczekiwane przez całe społeczeństwo polepszenie ekonomicznego bytu najzupełniej zawiodło.

Fakt ten niezbicie dowodzi, że w naszym wewnętrznym ekonomicznym układzie jest samodzielny i w znacznym stopniu niezależny od zagranicy czynnik, z wielkiem powodzeniem operujący na obniżenie marki polskiej w jej własnej ojczyźnie. Czynnik ten, powszechnie odczuwany i określany najbardziej popularnemi w obecnej chwili wyrazami—*lichwa i paskarstwo* — oddawna zwracał na siebie uwagę społeczeństwa i rządu, który dla zwalczania go wpływów tworzył i tworzy cały szereg urzędów, i jak nap.: zakup przez specjalny urząd państwowy produktów za granicą i podział ich za pomocą systemu kartkowego; ograniczenie przywozu produktów zbytkownych i wywozu chleba, określenie rządowe maksymalnych cen i wreszcie najsroższe kary dla schwytanych na gorącym uczynku agentów paskarstwa i lichwy. Niestety wszystkie te środki, użytkowane z pomyślnym rezultatem za granicą, u nas pożądanego skutku nie przyniosły.

(D. n.). **T. H.**

Towarzystwo misyjne.

Pod patronatem J. E. Kardynała Prymasa zawiązał się i przystąpił do pracy Komitet Organizacyjny Towarzystwa Misyjnego, które utworzone zostało na zebraniu inauguracyjnym, odbytem pod przewodnictwem Jego Eminencji w dn. 14 grudnia r. z.

Opracowany odpowiednio Statut Towarzystwa złożono w tych dniach do rejestracji w Ministerjum Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, podanie zaś z ramienia Komitetu Organizacyjnego podpisali: Ks. Infułat Zygmunt Chełmicki, ks. prałat Antoni Około-Kułak, inżynier Aleksander Hauke, Antoni Dobraczyński, Władysław Dramiński i ks. Hipolit Skimborowicz.

Po legalizacji Statutu organizować się niebawem zaczną Rady Djecezjalne i Koła parafjalne Tow.

Biuro Komitetu Organizacyjnego mieści się tymczasowo przy Kancelarji parafjalnej św. Krzyża.

LITERATURA I SZTUKA.

„REWIZJA” DRAMATURGJI WYSPIAŃSKIEGO.

W artykule „Dzieło Wyspiańskiego a czerwie przyczynków“ zwrócił Jan Lorentowicz uwagę na groźne zjawisko, jakiego jesteśmy świadkami: nazajutrz po odzyskaniu niepodległości odzywają się z pewnych stron głosy, domagające się gruntownej rewizji pojęć o Wyspiańskim, jako o dramaturgu. Rozpoczęło się jakieś orgjastyczne „przewartościowywanie wartości“, dokonywane z pasją i niewątpliwie obliczone na poklask gawiedzi. Zjawisko to jest o tyle groźne, że owe rozważania zasadnicze nie są dokonywane w broszurach a zwłaszcza na łamach literackich miesięczników czy tygodników, gdzieby była możność ich odparcia lub skontrolowania dróg egzegezy krytycznej, jaką doszli ich autorowie do swych wniosków, lecz,—że poglądy owe są rozpowszechniane za pośrednictwem prasy codziennej, ulicznej, jako zdecydowane sądy, jako rezultaty i wyniki niewyjaśnionych bliżej dociekań. Jest to niewątpliwie z jednej strony odgłos orjentacji t. zw. szerokiej publiczności, z drugiej wszakże —jest to świadome urabianie opinji tejże publiczności.

Dla poparcia zarzutów przytoczyć należy, że z okazji „Nocy listopadowej“ jeden z krytyków warszawskich nie omieszkał skorzystać ze szpalt swego poczytnego dziennika, by zdobyć się na odważne i zuchwałe twierdzenie, iż Wyspiański pisał „*mętne bruljony* dramatów“, że więc wiwisekcja, jakiej dokonało tępe narzędzie inscenizatora była funkcją wskazaną i słuszną. Przy drugiej okazji, z powodu wystawienia „Bolesława Śmiałego“, sztuki, którą pod wielu względami uznać należy za jedno z najświetniejszych dzieł poezji dramatycznej polskiej i europejskiej, tenże krytyk znowu uczynił szereg zarzutów, tyczących się rzekomych zaniedbań przez poetę t. zw. wiązań międzyscenowych czyli przejść od sceny do sceny. Z tej okazji krytyk uczenie wywodzi o znaczeniu tych wiązań, które dlań są w dramacie równie ważne jak... same sceny, i t. d. w tym typie, wreszcie dochodzi do wniosku, że wady te wypływają „z niedbałości w opracowaniu literackiem natchnienia“ poetyckiego, czem „Wyspiański często grzeszył, grzeszył, niestety zanadto często“.

Drugim objawem naszej powojennej kultury literackiej jest pogląd wyrażony z powodu wystawienia „Nocy listopadowej“ i „Bolesława Śmiałego“ w jednym z tygodników. Autor usprawiedliwia ich niedostatateczność, gdyż — pisze dosłownie — „nie były usiłowania teatrów poparte przez teksty obu sztuk. Tymczasem Wyspiański zawiódł na całej linji. Oba dramaty wykazały dobitnie swoje pochodzenie — że matką ich jest genjalna malarska wizyjność, do której autor dopisał „objaśnienia“ w teatralnych djalogach. Ale w tych djalogach niema ani dramatu, ani logiki, ani charakterów, ani linji rozwojowej. Jeden z apologetów Wyspiańskiego miał podobno na premjerze „Nocy listopadowej“ wyrazić się temi słowy: Nie myślałem, że Wyspiańskiemu tak bardzo zaszkodzi niepodległość. Sądziłem, że dłużej wytrzyma. Istotnie — niepodległość zaszkodziła. Prysnęła suggestja—wielkość życia potłukła kruche słowa Wyspiańskiego — pozostawiając z nich tylko szereg ładnych wizji. Jednem słowem pojęcia o Wyspiańskim jako o dramaturgu, domagają się rewizji gruntownej“.

Pierwsza z powyższych opinji przedewszystkiem świadczy, że krytyka dotyczy wyłącznie szczegółów, więc zazwyczaj właściwości stylu i formy. „Wielka krytyka żyje uwielbieniem, mała drobnemi szykanami“ powiada Hello i żąda od krytyka umiłowania nieskończoności, przez co zdobędzie on w stosunku do wielkich dzieł poezji spojrzenie ogarniające ogół zjawisk. Żąda dalej Hello od krytyka entuzjazmu, do jakiego są zdolne jeno natury wyższe. Niestety. w danym wypadku zbyt wielka jest dysproporcja, zbyt wielki dystans i różnica w skali duchowej poety a krytyka, zbyt wielka przepaść w talentach, polocie myślowym, odczuciu i koncepcji filozoficznej świata, życia i teatru między Wyspiańskim a krytykiem, by mogła być mowa o entuzjazmie w odczuwaniu. Konstrukcja psychologiczna krytyka zasadniczo wyłącza możliwość ogarnięcia przezeń całokształtu poezji Wyspiańskiego, jej niezgłębionych nurtów i wieczystych głębin Piękna i Prawdy. Tchnienie wieczności, jakie przenika twórczość poety, obce jest roześmianej, błyskotliwej duszy krytyka i jego farsowej koncepcji świata, życia i teatru, zaś racjonalistyczna, na dobrych wzorach francuskich kształcona, wyobraźnia nie ogarnia fantazji Wyspiańskiego. Lubowanie się w wynajdywaniu szpar i szczelin bez ogarnięcia syntetycznego ideologji utworu i wyodrębnienia jej na czele rozważań krytycznych świadczy wyłącznie, że krytyk nie potrafi czy nie chce mówić o tem, co wielkie, potężne i genjalne z należnem nabożeństwem i skromnością.

Zastrzeżenia natury formalnej co do Wyspiańskiego, jakie się zawierają w powyższem wystąpieniu, są nader znamienną falą powrotną i reminiscencją sporu o Wyspiańskiego, jaki się odbył w roku 1909. Obojętność, krytyczny sceptycyzm i niezrozumienie Wyspiańskiego, czego daje dowody powyższe stanowisko, w prostej linji zrodziły się z zarzutów, jakie wysunęła w swoim czasie konwencjonalna estetyka salonowa Józefa Weyssenhoffa w jego osławionych „Rozmowach literackich“ o Wyspiańskim. I tam zarzucano obcesowość zjawiania się figur w dramatach Wyspiańskiego i tam stwierdzono „stan bruljonowości“, w jakiej pisał rzekomo Wyspiański. Znajdziemy tam również analogiczny zarzut „lenistwa myśli“ i „pośpiechu tworzenia“. Dopatruję się wyraźnej logiki w jednakowości stanowisk. Zmysł obserwacji, wirtuozostwo werbalne i śmiałość w stawianiu tez dramatycznych zupełnie nie są równoznaczne ze stanem całkowitej dojrzałości duchowej, która czyni człowieka godnym do przyjęcia i zrozumienia Prawdy Wyspiańskiego. Prorok gromiący, stopiony cały w jednym ogniu miłości narodu — jak pięknie i głęboko nazwało poetę gorące serce patrjotyczne biskupa Bandur-

skiego — był Wyspiański wyłącznie zapatrzony, zasłuchany w życie Polski, i całą potęgę swego genjuszu jako mistrz słowa, myśliciel, artysta i Polak skierował ku nakłonieniu ducha narodowego do poprawy i podźwignięcia się z bezwładu i niewoli. Prawdy odsłaniane narodowi przez Wyspiańskiego w znakomitej mierze przyczyniły się do niezłomnej woli zmartwychwstania, jaka przejawiła się w całej potędze w wojnie światowej i zrealizowała w odrodzeniu Państwa.

Stanowisko, zajęte przez drugiego z krytyków wobec Wyspiańskiego — jest objawem pauperyzowania sądów o najważniejszych zagadnieniach naszego życia narodowego, a za takie zagadnienie uznać należy rolę Wyspiańskiego w odrodzeniu Polski i w odrodzonej Polsce. Perfidyjne ubolewanie, że nie będzie już obecnie możliwe wystawienie w najbliższym czasie żadnego z arcydzieł Wyspiańskiego z powodu zbyt ostrego stanowiska krytyki, jest o tyle groźne, że sieje jad do duszy czytelników, wątląc ich wiarę w genjusz poety i w wiecznotrwałość jego koncepcji ideowych i artystycznych. Przeczuwał poeta niejednokrotnie proroczo tę postawę kochanych rodaków. Lecz wierzył Wyspiański, że „przemoże śmierć i trumien głaz zdruzgocze“ i „powstanie z martwych na narodu czele w nieśmiertelności królować kościele“. Dusza poety, zjednoczona z duszą narodu w najgłębszym związku współżycia duchowego, w przeczuciu proroczem wyznaczyła swój los:

„Zginę, rozwieję się we mgle waszych snów,
Lecz w braci mej ja się odrodzę czynem —
Wieki żyć będę znów“.

Jasnowidzenie swej siły i wpływu na naród, niezachwiana wiara w tej mierze, jaką przeniknięte jest i „Wyzwolenie“ i „Daniel“, i „Hymn do Ducha świętego“ i t. d. — stwierdzają, że poeta zdawał sobie sprawę, iż tkwi w nim taka pełnia twórczości, taka moc wyzwolonej Duszy, takie tchnienie Nieskończoności, takie poczucie związku z wszechświatem, takie skrystalizowanie zagadnień: jednostki, narodu i ludzkości,— jakie noszą na sobie wszelkie cechy nieśmiertelnego genjuszu.

Rewizji naszych pojęć o Wyspiańskim, jako dramaturgu, dokonać należy, ale nie w stosunku do Wyspiańskiego, lecz do nas samych. Wyspiańskiego twórczość zmianom nie uległa, jej ciężar gatunkowy, dany objektywnie, redukcji nie uległ i uledz nie mógł — „z powodu odzyskania niepodległości“. O ileby zachodziła potrzeba rewidowania wartości twórczych Wyspiańskiego, należałoby to samo uczynić w stosunku do relikwji ducha narodowego: twórczości trójcy romantycznej, twórczości, której „aktualność” skończyła się wszak również z odzyskaniem Państwa.

Tymczasem z podobnem barbarzyństwem nikt się jeszcze nie odezwał. Rewizja naszego stosunku względem romantyków i Wyspiańskiego musi iść poprostu w kierunku zmiany metod komentatorskich, jakie stosowano dotychczas wobec dorobku ich twórczości. Nie kryterjum wartości narodowych, jakie najsłuszniej i jedynie decydować mogły o wartości literatury polskiej dla Polski w czasie niewoli, lecz przedewszystkiem wartości *wieczyste*, ogólnoludzkie oraz walory *formy* wysunięte obecnie być winny na czoło rozważań. Znaczenie Wyspiańskiego jako konstruktora dramatycznego, jako genjalnego poety teatru, jako wizjonera winno być *obecnie* uwydatniane przedewszystkiem. Nie znaczy to wcale, by w czemkolwiek ubożyć bogactwo cech genjalności, które tkwią potencjalnie i niezmiennie w dziełach poety. Idzie poprostu o to, by moment patrjotyczny, moment propagandy politycznej został usunięty z pierwszoplanowości w rozważaniach. Podkreślać należy dobitnie, że wytworzenie i wytwarzanie w narodzie psychiki, zdolnej do twardego, bojowniczego, zwycięskiego życia dziejowego Polski, jest ustawiczną poety zasługą i niesłabnącym, nieustannym wpływem jego genjuszu na naród.

Zarzuty, że u Wyspiańskiego niema ani dramatu, ani logiki, ani charakterów, ani linji rozwojowej, zarówno jak i zarzuty co do szpar i szczelin — nie zasługują w istocie na to, by dziś, po kilkunastu latach pracy krytycznej nad twórczością Wyspiańskiego, odpierać je szczegółowo. Idzie tu jedynie o zasadnicze stanowisko ich autorów, o platformę ich podstawowego kryterjum wobec Wyspiańskiego.

Stanowisko to jest groźne dla kultury polskiej i dla całości naszego dobra duchowego. Nim publiczność polska w najszerszych warstwach zdąży się zapoznać ze sceny z twórczością Wyspiańskiego, już lekkomyślni krytycy zniechęcają i zohydzają jej wyobrażenia o poecie.

Spór o Wyspiańskiego jest jednym z najważniejszych momentów walki o kulturę, jaką stoczyć należy ze złemi mocami w naszem życiu.

Eugenjusz Świerczewski.

PRAWDZIWA SZTUKA.

Malarzy kilku się zawzięło
Przechwalać każdy swoje dzieło.
Samemu sobie z trybularza
Podkadzać — cechą jest malarza.
— Ja — mówi pierwszy z mistrzów — słońce
Namalowałem tak gorące,
Że tragarz, co je do Zachęty
Niósł, spotniał od głów aż po pięty.
— To nic. — rzekł drugi: — ja raz pralnię
Machnąłem i tak literalnie,
Żem prał w niej wszystkie swoje brudy,
Z boleścią praczki mej, Gertrudy.
— Fraszka! — rzekł trzeci: — Ja funt schabu
Stworzyłem... Tyle miał powabu,
Z taką był prawdą absolutną,
Że mysz nadgryzła mi to płótno.
— Mysz?—krzyknął czwarty: —Ja raz z kotem
Zrobiłem kicz. To pies mój potem
Jął nań tak szczekać w sposób srogi,
Że kot z obrazu hyc — i w nogi.
— To głupstwo! — piąty rzekł: — Ja zimę
Taką'm ci dał kwalitę primę,
Że mi w atelie (prawda szczera)
Termometr spadł gdzie niżej zera.

— Nie bzdurz! — tu szósty: — Jam poprostu
Twarz namalował bez zarostu
Tak żywo... (świadków mam, dowiodę)...
Musiałem jej podgalać brodę.
— Ot sztuka (siódmy): z kart budynek
Dałem, pudełko od sardynek,
But, krzywo, prosto, pion pochyło,
Tytuł: „Coś jest"... No i coś było.
— Słuchajcie mnie — tu ósmy przyda:
Raz pędzlem kleks — zrobiłem żyda,
I żyd ten żył, i wziął na barki
Trud, by kurs podnieść polskiej marki...
— Blaga! — Bzik! — Cymbał! — Osioł! — Warjat! —
Tu już oburzył się malarjat.
Morał: są cuda, stwierdzić miło,
O których państwu się nie śniło.

Jan Lemański.

SZTUKA PLASTYCZNA WSCHODU.[1]

ORNAMENT.

I.

Dobrze zrobimy, wyrabiając sobie przy rozpatrywaniu sztuki plastycznej Wschodu zasadnicze pojęcie, że istniały trzy wielkie zbiorowiska ludzkie, z których jedno, żyjące na oazach nadrzecznych południowego lądu Eurazji, wznosi się szybko ku wysokiej kulturze, jak roślina cieplarniana, podczas gdy drugie, na północy, walczy ze skąpą przyrodą i znacznie wolniej posuwa się naprzód, trzecie zaś, oddzielając tamte, ciągnie po przekątnej od oceanu Atlantyckiego do oceanu Spokojnego i pozostaje po wsze czasy przy swem życiu koczowniczem. Dotychczas zawodowe badanie sztuki liczyło się jedynie z kulturą południa i niezbyt brało pod uwagę, że również i ludy koczownicze oraz północne wzięły udział w rozwoju sztuki plastycznej jeszcze w czasach historycznych. Podczas gdy narody południowe przeszły bardzo rychło do budownictwa pomnikowego w kamieniu i do sztuki plastycznej drogą odtwarzania postaci ludzkiej, plemiona północne pozostały nieskończenie długo przy budowli drewnianej i ornamencie, jako obrazowem przedstawieniu tego, co miały do powiedzenia. Dopiero kultura południowa zepchnęła ich z tej drogi, ludy zaś koczownicze pozostały nadal przy namiocie i ornamencie. Dlatego też — czego dotychczas nie dostrzeżono — już w późniejszych czasach helleńskich ich sztuka, zarówno jak i sztuka północy, poczęły wywierać silny i trwały wpływ na kultury, grupujące się dokoła morza Śródziemnego.

Wiemy dzisiaj z wykopalisk okresu kamiennego, iż nie ornament stanowił początek rozwoju sztuki plastycznej. Dziecko również nie rozpoczyna sztuki swojej od zdobnictwa. Dopiero powstanie rzemiosła prowadzi stale do układu symetrycznego, do szeregowania i zapełniania płaszczyzn. To więc, co się ujawnia w twórczości zdobniczej, jest stosunkowo późniejszym stopniem rozwoju umysłowego i gospodarczego, osiągniętym w życiu ludów wtedy dopiero, gdy pewien ład pobudza umysły do kształtu, osobowość nie dochodzi jednak jeszcze w spokojnem spółzawodnictwie w sztuce do samoistności twórczej. Ten stopień stanu gospodarczego, sprzyjającego zdobnictwu, musiał dla ludów północnych zacząć się epoką bronzu. Zajmę się nią na innem miejscu. Wpierw pomówimy o pasterzach wędrownych i o Ałtaju, jako ośrodku ich kultury. Również i koczownictwo sprzyjało — jak się zdaje — rozwojowi sztuki zdobniczej. Warunkiem jej powstania jest pewne ustalenie stosunków gospodarczych. Nie jest związana, jakby przypuszczać można, z pierwotnym stopniem myśliwstwa; rozwijała się raczej tam, gdzie odpowiedni grunt uprawny otoczony jest stepami. Przyjęto zatem, że sztuka ta wzięła początek u samego progu epoki wędrówki ludów na wschodzie, w stepach południowej Rosji. Być może, iż należy tu brać pod uwagę okolice nadrzeczne i doliny górskie, leżące na krańcach tych stepów, a ciągnące się od Afryki północnej, przez Arabję, pustynie syryjskie i pustynie słone dookoła jeziora Aralskiego, ku północy Europy i Azji. Być może, iż tam, w sąsiedztwie tych krańców pustyń mogła się tak znakomicie rozwinąć i przerzucić na stepy hodowla bydła, która umiała doprowadzić zwierzęta do dużej wydajności mleka, to znaczy, umiała stworzyć takie warunki, bez których życia koczowniczego wyobrazić sobie nie można. Przy badaniach, dotyczących sztuki, powinny być brane pod uwagę przedewszystkiem ludy ałtajskie, grupujące się dokoła Ałtaju, wzdłuż biegu Jeniseju i jeziora Bajkalskiego. Różnią się bardzo istotnie od Indo-Germanów w zasadniczych elementach swych mieszkań i form zdobniczych. Jeżeli w następstwie próbować będę pewnego podziału i bliższych określeń, zaznaczam, że chodzi tu jedynie o próbę rozgraniczenia tych narodów według materjału, na którym się ukazuje rozwój sztuki plastycznej epoki przejściowej od starożytności do średniowiecza.

1. Ałtajczycy. Nazwą tą obejmuję, za przykładem Castrena, grupę ludów, które mieszkają lub mieszkały w środkowej i północnej Azji. Dla badacza sztuki grupa ta, o ile mieszka w namiotach, występuje jako jednolita całość, bogate zaś pokłady kruszcu na Ałtaju pobudziły ją do tworzenia szczególnych kształtów, uwarunkowanych przez połysk metalu. Wyjaśnię to na dwóch przykładach.

Namioty z czasów, o których mówimy, z pierwszego tysiącolecia po narodzeniu Chrystusa, nie zachowały się w oryginale, zostały jeno ich odtworzenia. W Muzeum Etnologicznem w Berlinie przechowany jest wizerunek jurty, odtworzonej na malowidle ściennem, pochodzącem ze świątyni w Bezeklik, z chińskiej części Turkiestanu. Za klęczącą postacią wznosi się namiot. W półkolistem wejściu, otwierającem się w górze, ku prawej stronie, widać sprzęty, wiszące na drągu. Obok wejścia wzorzysta materja tworzy półkolisty strop, kończący się kręgiem, około którego widać motyw zwisających płatów, w rodzaju niemieckiego lambrekinu. Ważniejszy jest niekończący się wzór, pokrywający w kształcie geo-

[1] Patrz № 7 „Tygodnia Polskiego".

metrycznej wici płaszczyzny namiotu, jako też kobierca, na którym klęczy owa postać. Należałoby przypuścić, że wić będzie miała cechy rośliny; w rzeczywistości wić pierwotnie nic nie ma wspólnego z rośliną, jest to motyw czysto geometryczny, wypełniający płaszczyzny, powstały ze spiralnej i jej połączenia z linją falistą. Związek ten widzimy wyraźnie na wzorze namiotu. Biegnącej w górę linji falistej towarzyszą gęste, blisko jedna drugiej leżące spiralne; rozchodzą się one wraz z linją falistą, bez końca po całej powierzchni, gdzie tylko znajdą wolne miejsce, t. j. o ile tego wymaga wypełnienie płaszczyzn. Za przykład różnych rodzajów takiego wypełnienia może służyć rozwinięcie u góry na płaszczyznach namiotu (rozgałęzienie) i na kobiercu u dołu (rysunek równoległy).

To, co widzimy na wzorach namiotu, jest prawdopodobnie jednym z najstarszych rodzajów ozdabiania pilśniowych lub wiązanych materji, przedewszystkiem zaś t. zw. dywanów wschodnich. Chociaż kobierce takie, pochodzące z pierwszego tysiąclecia, nie przechowały się w oryginale, przykłady ich mamy na innych malowidłach Turfanu, Khotanu, Tunhuangu oraz na „sasanizyjskiej" srebrnej czarze. Wydaje mi się, że są to znamienne okazy altajskiego podłoża i wpływów okolic stepowych, jakich oczekiwać by można w chińskiej części Turkestanu oraz na gruncie starożytnego państwa Partów i Indosaków. Geometryczna wić i motyw lambrekinu stanowią zasadnicze pierwiastki tego rodzaju pomników sztuki.

Drugą grupę stanowią bronzy z Jeniseju, których część przeważna i najważniejsza pochodzi z czasów z przed narodzenia Chrystusa. Tytułem przykładu chciałbym wspomnieć o szeregu nożów, przewierconych u góry, które noszono przy sobie. Dziury są wywiercone w takim samym ornamencie geometrycznej wici, jaki widzieliśmy już i na materjach. Do motywu fali z jej kolistemi płatami dochodzi jeszcze znamienne ścinanie ukośne, mające podnieść wartość blasku metalu. Istnieje dużo dowodów, zarówno w przedmiotach z bronzu, jak i ze złota, świadczących, że wartość tę, obliczoną na działanie światła i cienia, umiano całkowicie ocenić w odległych krajach Azji północnej aż do południowej Rosji i po mistrzowsku wyzyskano to ścinanie ukośne na przedmiotach o kształtach zaokrąglonych.

Przytoczę inny przykład, ważny, jakkolwiek bowiem pochodzi z południowej Rosji, podobny jest jednak do bronzów altajskich i z wielu względów stanowi przejście do przedmiotów zdobnych o glazurowanych płatkach złotych, które w czasach wędrówek ludów tak wielkiego nabrały znaczenia. Jest to postać zwierzęca, zrobiona ze złota, pochodząca z kurhanu w Kelermes na Kubaniu, którą znawcy odnoszą do szóstego stulecia przed nar. Chrystusa. Ciało zwierzęcia modelowane jest ściśle w ścięciach ukośnych. Można sobie wyobrazić, jak wrażliwe musiało być oko na grę błysków światła i cienia, w czasach, w których powstał ów przedmiot. Z całego szeregu „scytyjskich" wykopalisk wyróżnia się on pewnym związkiem, jaki istnieje między nim, a bronzami Jeniseju, dzięki specjalnemu ornamentowi na nogach i na ogonie oraz typowej glazurze przy uszach, co znów przypomina niemieckie starożytności z czasów wędrówki ludów. Jednakże glazurowanie nie odbywa się tutaj przy użyciu granatu lub almandiny, lecz na modłę północną, przy pomocy płytek bursztynu.

We wspomnianym wyżej ornamencie, pokrywającym łukowato postać zwierzęcą z lewej strony u dołu, znajdują się prócz kółek małe pręciki, które na jednym końcu również zwijają się w koła, tak jak w wici, okalającej jurtę. Tenże sam motyw jest zastosowany na znanej nam czarze złotej z Nagy — Szent — Miklos, znajdującej się w muzeum historji sztuki w Wiedniu. Na tym skarbie, odnalezionym w południowych Węgrzech, widzimy typowy okaz rozpatrywanej tu grupy ornamentów; przez wyryte na nim napisy może być uważany za stojący w pewnym związku z Turkami. Czara przyozdobiona jest kołami, w których ukazują się smoki. Duże koła połączone są ze sobą małemi kółkami, tak, że otrzymujemy wzór bez końca. Przedmiot ten przedstawia typowy dla ludów koczowniczych sposób wypełniania płaszczyzn. W klinach między kołami u dołu i u góry oraz u brzegu czary wprowadzono również ornament z pręcików, tworzących półkoliste płatki. Takie same pręciki tworzą również koła. Mamy tu zatem z czasów wędrówki ludów ten sam motyw ornamentacyjny, który widzimy już w epoce bronzu na Syberji, następnie na zwierzęciu złotem z Kubania, wreszcie na wzorach namiotów z kobierców, odtworzonych na malowidłach. Niżej mówić będziemy o tem, jak ów motyw, geometryczna wić, połączona z płatkami kolistemi oraz inne jej odmiany, jak np. półkoliste pręciki, później, w czasach islamu, stał się punktem wyjścia „arabeski". Przedtem musimy jednak wspomnieć o innym rodzaju ornamentu, który panował na północy, lecz który rozwija się w sposób swoisty również w granicach sztuki islamu aż po dzień dzisiejszy, podczas gdy na samej północy musiał ustąpić przed wielkim ruchem chrześcijańskim, biorącym swój początek z południowych środowisk sztuki.

Prof. Dr. Józef Strzygowski.

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

⊕ **Jan Papini. „Dzieje Chrystusa".** Cykl pierwszy. Przełożył W. Rzymowski. Warszawa 1922. Wydawnictwo J. Mortkowicza. — Piękna, wielkim rozgłosem ciesząca się książka Papiniego otrzymała w Polsce opiekę jednego z najświetniejszych stylistów, W. Rzymowskiego. Zyska ona, niewątpliwie, nie mniejszą sławę od dzieł Straussa i Renana, po których objawia się jako nowy a wysoce znamienny ton. Strauss zerwał z egzegezą teologiczną i z brutalnym racjonalizmem Paulusa, a chociaż odmówił ewangeljom wartości historycznej, usiłował uwydatnić ich cechę mityczną lub bajkową. Nie zaprzeczał on, jak utrzymywali niektórzy, istnieniu Jezusa, ale widział w nim personifikację hegeljańską o dwóch obliczach, których istnienie ginęło w pomrokach baśni. Starał się odróżnić wiarę od historji. Renan postępował zupełnie inaczej. Jego „Życie Jezusa" jest arcydziełem—*romansu* historycznego. *Prawdę* zamienia Renan w zwierciadło własnej wyobraźni i włas-

nego talentu. Podążając śladami Chrystusa w Judei, Renan rzuca na jego fizjonomię światło własnych wrażeń. Ewangelje stanowią dla niego legendę, ale częściową jedynie, każda zaś legenda posiada pewną ilość prawdy, którą właśnie Renan analizuje z całym nakładem swej wiedzy historycznej. W rezultacie renanowskie „Życie Chrystusa“, pomimo pozorów ścisłej naukowości, jest jeszcze jednym więcej mytem, ale mytem takim, jaki stworzyć mogła refleksja i wyobraźnia nowoczesna: historycznym i romantycznym, krytycznym i estetycznym, bardzo złożonym i idealnie osobistym.

Stanowisko Papiniego jest zgoła odmienne. Mówią, że Angelico z Fiesole malował zawsze na kolanach głowy Madonny i Chrystusa. Papini *na kolanach* opowiada „Dzieje Chrystusa“, widziane w blaskach rozpalonej do białego duszy własnej. Tytuł dzieła jest zawodny, bo nie są to dzieje, ale gorący poemat o Chrystusie. Czytelnik polski, któremu razem z temi „Dziejami“ podano inną książeczkę Papiniego, a mianowicie „Pamiętniki Pana Boga“, zdziwi się na razie, czytając np. rozdziały o cudach Chrystusa i aluzje Papiniego do „wszy wolterjańskich“, które ośmielają się o cudach tych wątpić. Ale po przeczytaniu uważnem obu książek dojrzy łatwo, że wydał je ten sam, z najgłębszych pokładów duszy idący niepokój religijny, to samo tchnienie wielkiej poezji, które np. rozważanie o Kazaniu na Górze rozpoczyna takiemi słowy: „Kazanie na Górze jest to największy tytuł ludzi do istnienia. Wobec istot w bezgraniczach wszechświata. Nasze usprawiedliwienie dostateczne. Świadectwo naszej godności istot, obdarzonych duszą. Rękojmia, że dźwignąć się możemy ponad siebie samych i stać się czemś więcej, niż ludźmi. Obietnica owej możliwości najwyższej, owej nadziei: wzniesienia się naszego ponad Zwierzę. Gdyby jakiś Anioł, zstąpiwszy ku nam ze świata wyższego, spytał co najlepszego mamy w swych domach i co najbardziej drogocennego i gdyby spytał o próbę naszej pewności, o naczelne dzieło ducha w najwyższej jego potędze, nie powiedlibyśmy go przed wielkie naoliwione Maszyny, przed Cuda Mechaniki, którymi głupio się chełpimy, gdy tymczasem uczyniły one życie uciążliwszem, bardziej niewolniczem i krótszem — i są jedynie materją, służącą potrzebom i zbytkom materjalnym, — ale wskazalibyśmy Kazanie na Górze, a potem, potem dopiero, jakieś sto kart wyrwanych z Poetów wszystkich ludów. Ale Kazanie byłoby zawsze djamentem jedynym, jaśniejącym w swoim przejrzystym blasku niepokalanego światła pośród kolorowej nędzy rubinów i szafirów“.

⊛ **Wystawa Franciszka Szwocha.** W „Zachęcie“ otwarto wystawę dzieł młodego krakowskiego malarza Fr. Szwocha.

Debiutantowi przeznaczył „Komitet Zachęty“ aż dwie duże sale. Taka hojność nie wyszła na dobre młodemu artyście. Przydałoby się mu raczej surowe „jury“, któreby umiało wybrać prace najwartościowsze i usunęło niepotrzebny balast w postaci młodzieńczych prób i akademickich studjów.

Fr. Szwoch pracował w Akademji Krakowskiej pod kierunkiem prof. Wyczółkowskiego, Malczewskiego i Weissa, wypadki wojenne rzuciły go do Rosji i zapędziły w szeregi armji rosyjskiej.

Jako rezultat przeżyć wojennych powstały typy „Kirgizów“, malowane z dużem poczuciem malarskiem i młodzieńczą brawurą.

Ta część twórczości Fr. Szwocha jest najwartościowszą i ukazuje zdecydowaną jego artystyczną fizjogomję.

Skłonności malarskie popychają artystę w kierunku realizmu i wiernego odtwarzania przyrody. I tak może być — i na takich przesłankach oprzeć się może twórczość.

Lecz nie chodzi o zasady młodego malarza, który poraz pierwszy występuje w Warszawie ze swą wystawą, ale o skonstatowanie prawdy, że p. Franciszek Szwoch jest malarzem o wybitnym talencie.

⊛ **Teka podhalańska Władysława Skoczylasa.** W polskiej współczesnej grafice niewątpliwie najwybitniejsze miejsce zajmuje Wł. Skoczylas. Sztuka jego stwarza program i należy do przyszłości. Odrębność i programowość twórczości W. Skoczylasa zrozumiała w wyższym stopniu od Polski — zagranica podczas wystawy „polskiej grafiki“ w Londynie.

Wtedy to drzeworytom Wł. Skoczylasa poświęcono szczególną uwagę i charakteryzowano je jako „najbardziej interesujący przejaw polskiej sztuki“.

Teka podhalańska, która świeżo wyszła z pod tłoczni, realizuje w dalszym ciągu program polskiej konstrukcji. Wolno współczesnym malarzom w Europie zwracać się po motywy do wszystkich możliwych sztuk świata, wolno odurzać się rzeźbą murzyńską, wykopaliskami meksykańskiemi lub hinduską architekturą i sztuką dekoracyjną, dlaczegóż by nie wolno było polskiemu artyście oprzeć swej twórczości na prymitywnej sztuce swego narodu, zwłaszcza, że sztuka ta przewyższa pod każdym względem egzotyczne wykopaliska.

Fałszywem jest mniemanie, że Wł. Skoczylas, opierając się na prymitywie polskim, nie wnosi do sztuki nowożytnych wartości i zamiast konstrukcji wprowadza rekonstrukcję ludowych motywów i ludowej twórczości.

„*Teka podhalańska*“ jest pouczającym przykładem, ile możliwości artystycznych wydobyć można z naiwnych prymitywów ludowych i jak słusznemi są dążenia p. Wł. Skoczylasa, by współczesną twórczość plastyczną oderwać od zachodnich tradycji, które czyniły, że od czasów króla Stanisława powtarzaliśmy, jak za panią matką, wszystkie po kolei mody europejskie, zdobywając się bardzo wyjątkowo na swój odrębny i własny ton w sztuce.

⊛ **Wystawy polskie w Londynie.** W obecności polskiego posła w Londynie otwarto w Mc Lean's-Gallery przy Haymarket 7, wystawę rzeźb H. Kuny i projektów architektonicznych prof. S. Noakowskiego. Krytyka angielska wita z uznaniem „nieznanych w Anglji polskich artystów“, wyrażając się bardzo pochlebnie o „*wdzięku archaizowanych rzeźb Kuny, pełnych klasycznej czystości linji i wyrafinowania techniki rzeźbiarskiej*“.

Z niemniejszem uznaniem wyraża się krytyka angielska o projektach architektonicznych prof. Noakowskiego. „*Daily Mail*“ pisze: „Znakomite projekty architektoniczne przedstawiają kościoły, barokowe ołtarze, wewnętrzne urządzenia pałaców, w których elegancja stylu Ludwika XV miesza się z wschodnim przepychem. Projekty te są ewokacją pełnego romantyzmu kraju rodzinnego artysty“.

TOWARZYSTWO LITERACKIE im. ADAMA MICKIEWICZA.

W roku ubiegłym założony został Oddział warszawski Tow. literackiego im. A. Mickiewicza we Lwowie. Centrala Lwowska istnieje już od r. 1886 i ma za sobą poważne zasługi w dziedzinie prac i badań nad twórczością Mickiewicza i historji literatury polskiej wogóle. Z jej to inicjatywy począł w r. 1887 ukazywać się we Lwowie *„Pamiętnik Tow. literackiego"*, który w sześciu sporych rocznikach zamknął wiele prac zarówno syntetycznych, jak i analitycznych o twórczości Mickiewicza, dokładną bibliografję jego pism i literatury o nim.

Pismo to, przekształcone następnie na *„Pamiętnik literatury"*, było i jest dotychczas jedynym organem w Polsce, poświęconym naukowemu badaniu dziejów literatury polskiej.

Od r. 1896 zaczęło ukazywać się staraniem Tow. pierwsze krytyczne wydanie pism Mickiewicza; dotychczas, z powodu trudności finansowych, ukazało się 6 tomów tego wydawnictwa, do *Pana Tadeusza* włącznie.

Przy „Pamiętniku" prowadzona jest systematyczna bibliografja literacka czasopism polskich, rzecz niezbędna dla każdego zajmującego się pracą nad dawniejszą czy nowszą literaturą polską.

Ze zdobyciem niepodległości państwowej rozszerzył się zakres działalności Towarzystwa. Powstały filje w Krakowie, Warszawie i Lublinie. Celem ich ścisła współpraca z Centralą lwowską w kierunku szerzenia kultury literackiej w Polsce, zamiłowania do poważnego zajmowania się literaturą polską, popierania „Pamiętnika literackiego", urządzanie zebrań odczytowych dla członków i odczytów publicznych.

W dniu 9 lutego r. b. odbyło się w lokalu Seminarjum polonistycznego w gmachu Uniwersytetu zebranie ogólne członków Oddziału warszawskiego dla wysłuchania sprawozdania i wybrania nowego zarządu. Wybrany w r. z. na prezesa oddziału *prof. Tadeusz Zieliński* nie mógł, niestety, kierować pracami Tow. z powodu wyjazdu. Zastępowali go kolejno wiceprezesi: *prof. Zygmunt Łempicki i prof. Józef Ujejski*.

Ze sprawozdania zarządu okazało się, że oddział warszawski Tow. urządził w roku ubiegłym 6 zebrań odczytowych dla członków i 1 odczyt publiczny. Na zebraniach wygłoszono następujące odczyty: *M. Kridl*: Beniowski a Pan Tadeusz; *W. Borowy*: Zagadkowość w kompozycji Dziadów (2 zebrania); *J. Bystroń*: Wyobraźnia twórcza Prusa; *prof. W. Bruchnalski*: Kobieta w polskiej literaturze średniowiecznej; *Z. Gąsiorowska-Szmydtowa*: Norwid, jako tłumacz Homera. Odczyt publiczny w Auli Uniwersytetu wygłosił *prof. Z. Łempicki* na temat: „Romantyzm. Legenda i prawda".

Wybory do Zarządu dały wynik następujący: prezes prof. B. Gubrynowicz, wiceprezes prof. J. Ujejski, sekretarz dr. K. Górski, skarbnik p. L. Płoszewski; członkowie zarządu: W. Borowy, G. Korbut, M. Kridl, Z. Gąsiorowska-Szmydtowa i prof. Z. Łempicki.

Pierwsze zebranie odczytowe w r. b. odbyło się bezpośrednio po zebraniu ogólnem; *dr. Chorowiczowa* przedstawiła na niem rezultaty swych badań nad **„Konfederatami Barskimi"** Mickiewicza. Pierwiastek historyczny, stosunek do dramatu francuskiego, oraz próba rekonstrukcji brakujących aktów dramatu Mickiewicza—oto szereg problematów, poruszonych w bardzo interesującym odczycie p. dr. Chorowiczowej, który wywołał ożywioną dyskusję.

W r. b. projektowane są regularne zebrania miesięczne (w czwartki) oraz szereg odczytów publicznych, na które zarząd poprosić zamierza wybitnych prelegentów warszawskich i zamiejscowych.

* * *

Zgłoszenia na członków winny być adresowane do p. K. Górskiego (Al. 3 maja 18 m. 24). Członkowie opłacają 700 mk. rocznie, za co otrzymują bezpłatnie „Pamiętnik literacki" i mają prawo brania udziału w zebraniach Tow. Ponadto otrzymują po cenie zniżonej wszystkie wydawnictwa Towarzystwa.

M. Kridl.

LITERATURA I SZTUKA U OBCYCH.

✻ **Jan Rostand: Pendant qu'on souffre encore.** Na wystawach księgarskich figurują dziś jednocześnie książki trzech przedstawicieli rodziny Rostand'ów — ojca i dwóch synów, Maurycego i Jana. Mimo zastrzeżenia, jakie nasuwa zwłaszcza produkcja Maurycego, mimo przejaskrawienia, niekonsekwencje i nieokiełznany liryzm jego *Pręgierza* (*Le Pilori*), mimo gromko brzmiącą deklamacyjność jego *Sławy* (*La Gloire*), niezaprzeczony talent obojga braci pozwala dziś już twierdzić, że stoimy tu wobec poważnych zapowiedzi na przyszłość. Maurycy przejął w dziedzictwie błyskotliwość ojca i jego łatwą dźwięczność słowa. Być może, że grozi mu również z czasem jego wymanierowane wirtuozostwo. Jan natomiast, od pierwszego wystąpienia na widownię z rzeczą krótką, przenikliwą i okrutną p. t. *Prawo bogatych* (*La Loi des Riches*) zwrócił na siebie uwagę swą siłą skupienia wewnętrznego, które znalazła odpowiedni wyraz w formie zwartej, ścisłej, dobitnej, sięgającej najszlachetniejszych tradycji wielkiej prozy francuskiej. Jeszcze bardziej jednak przejmująca, niż ten pierwszy utwór, jest szczupła rozmiarami książka, z którą występuje obecnie, złożona z szeregu rozważań o wojnie i jej następstwach, objętych tytułem „Gdy cierpimy jeszcze" (*Pendant qu'on souffre encore*). Chce mówić o wojnie, póki ludzkość ma jeszcze żywo w pamięci swych zmarłych, swe ofiary, by zmobilizować ją przeciw wszelkim przelewom krwi w przyszłości. Francja opłakuje przeszło półtora miljona poległych, ma blisko dwa miljony inwalidów i pół-inwalidów, miljon prawie wdów wojennych, 800,000 chorych. Książka Jana Rostanda jest strasznym krzykiem bólu, wydobywającym się z piersi wobec tych hekatomb i niedoli tylu osamotnionych. Nie będziemy dyskutowali założeń autora, ale postawienie jednego z nich przynajmniej wymagało wielkiej odwagi. Jan Rostand protestuje przeciw wojnie w imię praw miłości i... tchórzostwa. Przedewszystkiem jednak w imię miłości. Nie uznaje możliwości konfliktów pomiędzy miłością i obowiązkiem. A największym, jedynym obowiązkiem jest dlań obrona ukochanej istoty od wszystkiego, co stawia ją wobec widma zagłady. I myśli ze zgrozą o tych wszystkich, którzy, miast wyrzucać sobie dobrowolne przystanie na śmierć

i mękę swych dzieci, braci, ojców, szczycą się swą żałobą i obnoszą ją wszędy tryumfalnie, jak osobistą chwałę i zasługę. Zasługą byłoby powstrzymać bohaterów od bohaterstwa. Niezliczone legjony kobiet, które kochają, niezliczone zastępy matek, żon, córek powinny protestować z całą żywiołową siłą uczucia przeciw zabieraniu życia, którego cenę znają wszak przecież.

Niedość atoli wszechprotestu kobiet. Pokąd łzy nie obeschły, winni przystąpić do niego wszyscy, co cierpią jeszcze i wszystko, co cierpi, „gniew chorego, który słyszy śmiech zdrowych, kaszel suchotnika, niedola oślepłych, rozpacz przed swem zwierciadłem człowieka o zeszpeconem potwornie obliczu, gorycz zawiedzionych ambicji, bolesne wysiłki pamięci, próbującej odtworzyć gest, dźwięk głosu, wspomnienie"...

Takiego wystąpienia przeciw wojnie domaga się Rostand od miłości i cierpienia. Ale odważył się również wystąpić sam przeciw niej w imię praw tchórza, praw człowieka nazbyt w stosunku do innych świadomego wartości życia i w którym wszystko pożąda go, rwie się do niego, buntuje się przeciw ofierze całopalnej. Bohater pada, zgadza się umrzeć, uprzedza zamach, który planowano przeciw niemu, i pozwala nam zapomnieć, że życie ludzkie jest przedewszystkiem i nadewszystko własnością tego, do kogo należy. Nie — bohater pragnie je zachować wszystkiemi fibrami istoty i w tem cała jego zbrodnia w chwilach zbiorowego heroizmu. Za to dostaje się pod pręgierz opinji publicznej. Czy słusznie? Czy słusznem jest, że nosi na sobie piętno hańby? Czy mamy prawo gardzić nim za to jedynie, że zmusza poniekąd zbiorowość do wciągnięcia go w szeregi ofiar?

Zaznaczyliśmy, że nie dyskutujemy tu zupełnie założeń pisarza. Rostand nie liczy się w nich ani z tragicznemi koniecznościami wojny ściśle obronnej, ani z nakazami wojny wyzwoleńczej.

Japonja a Polska.

Polskie Towarzystwo Wschodnie, wysłuchawszy odczytu p. Henryka Klepackiego, korespondenta pism japońskich, który przytoczył cały szereg dowodów i przykładów żywej sympatji dla Polski narodu japońskiego i japońskich sfer oficjalnych, uchwaliło, co następuje:

1) Polskie Towarzystwo Wschodnie prosi prelegenta o wyrażenie Poselstwu Japońskiemu w Polsce, w osobach panów: Jego Ekscelencji Ministra Pełnomocnego Japonji, pana Kawakami Toshitsune; pana Attaché Wojskowego, majora Yawamaki Masataka, kawalera orderu „Virtuti Militari", pierwszego Sekretarza Poselstwa, pana Myakawa Funao oraz panów: Kamei, Uchiyama i Kawamo — podziękowania i głębokiego uznania za ich akcję, życzliwą dla Polski.

2) Polskie Towarzystwo Wschodnie, stwierdzając istnienie wielu punktów stycznych między naszym krajem a Krainą Wschodzącego Słońca, wyraża niepłonną nadzieję, iż wzajemna sympatja Narodów Japońskiego i Polskiego doprowadzić winna — i doprowadzi — do większego zacieśnienia stosunków japońsko-polskich w dziedzinie politycznej, kulturalnej i gospodarczej, przyczem Polskie Towarzystwo Wschodnie oświadcza pełną gotowość moralnego i czynnego poparcia wszelkiej inicjatywy i wszelkich usiłowań, ku temu zmierzających.

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.
Prenumerata „Tygodnia Polskiego" wynosi **kwartalnie 900 mk., miesięcznie 300 mk. za granicą podwójnie.** Cena pojedyńczego numeru **80 mk.**
Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk. — Strona ogłoszeniowa dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.
Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch", Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE" Redaktor: Leon Kozłowski.

Odbito na maszynie rotacyjnej drukarni „Praca", Kredytowa 2/4. Telefon 60-10.